

ALEKSANDER ANTONI WOLSKI.

U ŹRÓDŁA

SZKIC SCENICZNY
W CZTERECH AKTACH.

LWÓW 1910.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO WE LWOWIE. — WARSZAWA: E. WENDE I SP. (T. HIŻ I A. TURKUŁ). — Z DRUKARNI I LITOGRAFII PILLER-NEUMANNA.

U ŹRODŁA.

U ŹRÓDŁA

szkic sceniczny w 4. aktach

przez

Aleksandra Antoniego Wolskiego.

Lwów 1910.
NAKŁADEM AUTORA.
Z drukarni i litografii Piller-Neumanna.

Jaśnie Wielmożnemu Panu

Józefowi Neumannowi

w dowód głębokiej czci i wdzięczności

poświęca

Autor.

OSOBY:

Krępy Zöller, zwany wielkim Jakóbem
Uliński
Oyrzanowski
— nominalni i prawdziwi literaci

Droba, zw. Dr. Oba
Kulawy blondyn
Mauer Maks, zasłużony żyd — nacyonalista
— akademicy rodem z Galicyi

Browski, prawie-akademik
Lili Owieńska

Nieborski, twardy szlachcic
Władek Radlicki, medyk — socyalista
Jurkiewicz
— akademicy Królewiacy

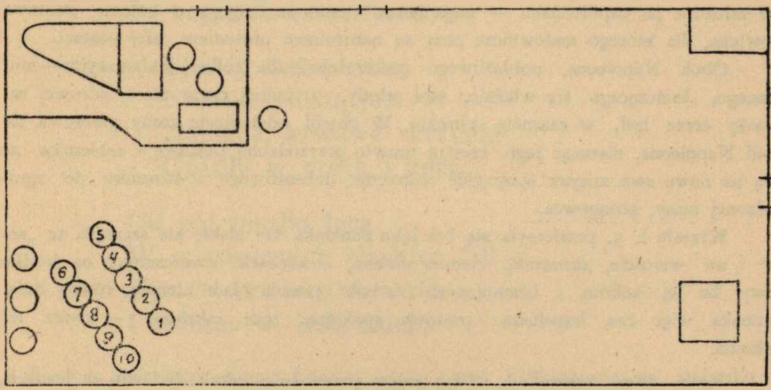
Deklamatorka
Grzędziel, „hartowny życiowiec“
Alt z za drzwi w akcie II.

Rzecz odbywa się w kilku tygodniach; jej miejscem jedno z głównych miast Polski.

Akt pierwszy: Kółko deklamacyjno-muzyczne w stowarzyszeniu akademickiem o odcieniu przedewszystkiem patryotycznym. Tłumny udział akademików.

AKT I.

Scena przedstawia salę stowarzyszenia akademickiego, uroczyście, choć mniej obficie oświetloną. W głębi, w pośrodku, drzwi otwierające się od czasu do czasu: wchodzi przez nie nowy słuchacz.



Naokoło, po ścianach, porozwieszane dzienniki, — na jednej z nich czarna tablica z ogłoszeniami. Pozatem dwa gipsowe biusty: naturalnie Mickiewicz i Słowacki, — portret Kościuszki przysięgającego, i wielki, o niezauważonej, drapieżnej godności Orzeł biały, na owalnem, czerwonem tle. Na szafie w głębi prawej, zakurzony odlew bronzowy: Grottger.

W chwili podniesienia kurtyny sala jest pełną; krzesła zajęte przez kobiety i mężczyzn: koledzy i koleżanki. Kilka starszych dam: opieka. Pod fortepianem, z ubocza, siedzi samotna koleżanka snadź: kapelusz — toczek na rudych włosach ku tyłowi głowy nasadzony — jakby granatowe obramienie dla twarzy okrągłej, pełnej, o daleko sięgających, średnio-silnych rumieńcach, — twarzy piegowatej. Oczy przysłonięte ręką, głowa jakby ze zwyczaju pochylona.

W krzesłach siedzą jak następuje: Krzesło 1. starsza panna o twarzy jakby, zżartej pożądaniami, o oczach — jakby przepalonych. Suknia czarna, kapelusz czarny. Obok niej matka widocznie, gruba, siwawa — również w czarnem. Na krześle 3. młody człowiek o włosach, nieinteresujących się bynajmniej jakiemkolwiek swem ułożeniem: część więc stoi, część pochyla się, z boków szczególniej, ku czołu. Twarz o niepewnej, skłonnej do nagłych poczerwienień cerze. Ubranie na nim czarne. Siedzi, patrząc dziwnie badawczo i w wytężeniu jakiemś niespokojnie przed siebie. Na jednej ręce, założonej przez pierś, wspiera łokieć, na dłoni zaś głowę. Noga na nogę założona — stopa nogi założonej pochylona przodem bucika bezwładnie ku dołowi.

Krzesło 4. zajęte przez koleżankę swojsko tęgą, czarno przyobleczoną i w czarnym kapeluszu. Twarz szeroka, łagodnie biało-różowa, uśmiech na niej dobroduszny i zadowolony z życia. W ręku, będącym w harmonii z całą postacią, więc powiedzmy: silnym, dzierży długą, metalową osadę, w której końcu tkwi cwikier. Manewruje nim ustawicznie, z przyjemnością niedawnego posiadania. Przygląda się deklamatorce, osobie młodej, dla ścisłości powiedzmy — niepięknej, w białym i wysckim kołnierzu podwójnym — jasny motylek w jego rozwarciu, to znowu przegląda szeregi młodzieży akademickiej, zatrzymując dłużej spojrzenie — z poza wzniesionego cwikiera — na twarzy młodego człowieka o krótko przystrzyżonych nad czołem włosach, prawie grzywce, a o wyrazie twarzy sztucznie i świadomie rozrzewnionym popisami „kolegów artystów"; głąb oczu jednak zamknięta dla P. T. zgromadzenia. Na młodym człowieku smoking, pod którym zwykłe zresztą ubranie; ręce założone po napoleońsku — noga jedna wysunięta i zgięta w kolanie. Postawa człowieka, dla którego malownicze pozy są naturalnem ułożeniem całej postaci.

Obok Napoleona, pobłażliwego (naturalnie!) dla kółka deklamacyjno—muzycznego, kończącego się właśnie, stoi młody, o bujnej czuprynie i zdrowej zaprawdę cerze żyd, w czarnem ubraniu. W chwili odsłonięcia sceny przesuwa się przed Napoleona, niszcząc jego, zresztą prawie przyrodzoną postawę i zabierając ze sobą na nowe swe miejsce spojrzenie oburzenia, dobrotliwego w stosunku do zgromadzonej masy, posągowca.

Krzesłu l. 5. powierzyła się bez lęku panienka nie niska, ale szczupła w „sobie" i we wzroście, skromnie, ciemno ubrana, o włosach rozczesanych na środku głowy ku jej bokom, i bramujących te boki prawie blade ciemną, równą linią. Panienka więc bez kapelusza; postawa spokojna, ręce założone, — twarz też spokojna.

Rząd drugi krzeseł: l. 6 i 7 zajęte przez dwie młode żydówki w jasnych, popielatych sukniach; obie też bez kapeluszy. L. 6 nic szczególnego w tej rasie, l. 7 spokojna i pewna siebie, tejże swej rasy, i — zdaje się swych pieniędzy.

Krzesło ósme zajmuje z pewnem zakłopotaniem jakaś gruba, o prostych rysach twarzy, opieka. Rzadkie włosy zdają się chcieć czemprędzej siwieć przed wypadnięciem; kapelusz damy gdzieś zapewne pod płaszczami pp. akademików w pokoju sąsiednim, w którym za otwarciem drzwi w głębi widać w gęstniejącym zwolna dymie tytoniowym zbitą masę kolegów, przeważnie ciemno ubranych — tam i na sali kółkowej.

Krzesła 9 i t. d. w posiadaniu prawych ich właścicieli: dla zamążpójścia w żadnym stopniu nie studyujących młodzieńców, którzy ciemną masą sięgają dotykalnie i szczelnie ścian przy oknie po prawej ręce i okna samego; środek sali nieco wolniejszy.

Naprost estrady jeszcze kilka siedzeń, zajętych przez niewiasty. W środku między niemi siedzi rzeczywiście ładna w swej zmysłowej urodzie, a w jedwabnej czy atłasowej rosa-bluzce, panna. Usta pełne, o wyrazie jak wyżej, twarz okrągła i wyrażająca zupełne zadowolenie z kółka, z siebie i t. d. Natura genetrix.

Na podyum, pod fortepianem tuż przy brzegu sceny, siedzi dwu młodych, gapiących się na całość koleżków.

Na scenie, przed podniesieniem się płótna kurtynowego, lekki gwarek: szepcą naturalnie między sobą kobiety, wciągając do winy i mężczyzn. Deklamatorka kończy z za stołu na estradzie rzewne marzenie Kazimierza Tetmajera o rusałkach,

po któreto widzenie trzebaby jechać stanowczo gdzie nad Wisłę, a niebrać ze sobą deklamatorki w białym, wysokim kołnierzu.

Idą czy płyną zatem z podwyższenia pełne toniki słowa o naszych słowiańskich nimfach. Deklamatorka zdaje się ignorować owe rusałki, może dlatego, że też zbytnio wyraźnie trącą dzisiejszą kobiecością, i także — uszanowanie dla wiersza wielkiego p. Kazimierza :

Zatem :

Od pól rusałki lecą
We mgłach i wód oparach,
Ogniki łapią błędne
Po bagnach i moczarach.

Ujrzały duszę cichą
I nieskrzydlatą już —
Złamane, krwawe skrzydła
Upadły w proch i kurz...

Od pól rusałki lecą
W miesięcznych blasków fali —
Ujrzały krwawe skrzydła
I tańcząc — lecą dalej...

Przytem zaś: Ręce ujmują książkę, leżącą przed deklamatorką na stoliczku za każdą jej (subtelna ostrożność kobieca) w rozłożeniu połowę, i ręce te też zginają się lub prostują, zależnie od pochylań się wprzód i napowrót, recytatorki.

Brawa długo niemilknące, jakoże: koniec już stanowczy kółka deklamacyjno-muzycznego (części ściśle programowej, bez jednego wszakże zaznaczenia w spisie rzeczy: koleżanki przez cały ciąg programu do oglądania dowoli — kolegów i — chyba — koleżanek). Oprócz zaś tego koleżanka chwilowo na estradzie będąca wypowiadała już rzecz trzecią.

Deklamatorka schodzi z estrady, u którcj stóp zatrzymuje ją swcjska szerokość z krzesła l. 4 dobrodusznie protekcyonalnem (różnice w pasie 80 i 55 cm.!):

Jak się masz, mała!

Po tej wkładce przyjaźniowej smętek wysoko w danej chwiii podniesionych brwi — interpretatorka Tetmajera — opuszcza zgromadzenie przez otwarte obecnie na ościeź drzwi w głębi; odbierają one część poszturkiwań od przesuwającej się przez nie zbitej ciżby.

Na sali tworzą się grupy. Do fortepianu zasiada po chwili, wydarłszy się z masy, młody człowiek z zawiązanym okrągło czarnem zawinięciem wierzchem głowy; końce bandażu nikną ciemnem pasmem pod sporym kołnierzem: młodość ta, zeszpecona gdzieś w honorowej sprawie, wygrywa z krańcowym temperamentem (piana i forte, każde z osobna, bardzo ściśle i bez przejść wykonywane) „Taniec Anitry“ Griega.

Z pierwszego rzędu krzeseł wstaje nieczesany młodzieniec, zajęty dotąd przez trwającą prawem bezwładności na krześle 4 koleżankę, pewną siebie wobec natłoku przy swych nielada pewnych podstawach; do wolnego już zatem posiadacza wilgotnych włosów zbliża się młodzieniec napoleoński w smokingu: wstają się bardzo serdecznie i ze szczerą sympatyą.

Smoking.

Przepraszam, że nie przyszedłem przywitać się z Panem odrazu, ale nie chciałem wyłazić tu na środek. przed trybunę.
(Mówi również serdecznie, i zdaje się patrzeć do złudzenia prosto na młodego szatyna o cerze skłonnej do rumieńców).

Szatyn.

O, nic nie szkodzi.
Potrząsa ręką Smokinga: prawie że patrzą sobie w oczy.
Cóż, bywa Pan u państwa Oyrzanowskich? Jakżesz tam?

Smoking.

Z zaczynającem się, choć niewydobytem do końca ożywieniem.
O, bywam codziennie, mam tam lekcyę. —
Wie Pan: ogromnie jestem zadowolony, żem się tam dostał. Bardzo mi teraz dobrze.
Bo widzi Pan: dotychczas mnie wszędzie gaszono, — tam dopiero odżyłem, i — postawiłem siebie...
Najwidoczniej nie kończy tego, coby dalej chciał mówić: o rozmaitych rzeczach, w nim się uświadamiających, o radości tego uświadamiania się i sobie; tylko odblask tego w uśmiechu, pozostawiającym jednak usta w spokoju.

Szatyn.

Taak?...

Przez chwilę śmieją się życzliwie do siebie chyba, bo stoją razem i trzymają się za ręce. Za chwilę rozdzielają ich przesuwający się koledzy; rozstanie ich tajemnicze: ciała rozdzielone, ale duchy patrzą sobie napewno śmiało oko w oko.

Kobiety, powstawszy z krzeseł, rozmawiają między sobą i z kolegami; grupy ich: koleżanki z krzeseł od 9—10 (dwie w czarnych sukniach, czerwonych paskach skórzanych, przewężających „kibić", mówią o czemś ze sobą, następnie ze starą damą l. 2, która podchodzi do nich. L. 1 stoi sama i rozgląda się przepalonemi oczyma po audytoryum.

Tęga l. 4 zabiera ze sobą do sali w głębi szatyna. Po chwili szatyn wraca, szuka na stojących w kącie szaragach swego widocznie płaszcza — po drodze zaś do niego żegna się serdecznie z nadarzającym się mu smokingiem: ściskają się długo, kilkakrotnie zapewne, za ręce. Szatyn z płaszczem wychodzi.

Popielata l. 6 stoi niedaleko swego krzesła i rozgląda się po sali mniej pewnie od l. 7, rozprawiającej z jakimś nizkim jegomościem. Wogóle tworzą się mó-

wiące wśród siebie grupy, których rozmów nie daje słyszeć gwar i gra na fortepianie: ciągle jeszcze naturalnie krańcowo grany Grieg.

Przy oknie, odwrócona od widowni, z głową wspartą na ręku, spoczywającym na drewnianej oprawie okiennego otworu, siedzi ruda osoba w toczku. Z postawy nic wyczytać nie można. Podchodzi do niej młody człowiek w ponuro czarnem ubraniu; pod szyją t. zw. mickiewiczowski krawat, w którym szpilka się srebrzy. Głowa podłużna, wąska w skroniach, włosy bardzo długie, zaczesane ku górze, spadają z przodu głowy — lokami prawie — na jej boki i na czoło ku oczom. Nikłe faworyty, także broda w szpic i wąsy. Pochyla się ku toczkowi i pyta o coś. Toczek się podnosi; pod nim, z boków czoła, kręcą się bujnie, choć nielicznie, włosy, tworzące przy jakiemś świetle dosłownie „aureolę“, ewentualnie jej część po bokach czoła.

Toczek odpowiada coś mickiewiczowskiemu krawatowi i brodzie w szpic (nikłej).

Z przodu sceny, ku oknu w prawej ścianie, ściąga się zwolna grupka młodych ludzi: literaci. Gromadzą się wokół nakrytego zielonem suknem stolika, na którym duża księga, zasmarowana (gwałtownemi) korespondencyami między-akademickiemi. Po obu stronach stolika krzesła. Na dalszem z nich, ku głębi, siedzi od pewnego czasu gruby, niski pan. Jedna ręka w kieszeni od spodni, druga na stoliku. Poza niedbała; włosy a la Kasprowicz, twarz spokojna człowieka, dobrze i regularnie jedzącego. Wyraz oczu z rezerwą względem pp. kolegów.

Ku stolikowi zbliżają się, idąc pod rękę, smoking — z wyższym od siebie czarnym panem o twarzy rasowej aż do semickości. Rozprawiając prawie żywo stają przed krępym człowiekiem, nazwanym z wesołą logiką młodości „Wielkim Jakóbem“.

Smoking.

Cóż kolega Wielki Jakób? Jakżeż dziś?

W. Jakób.

Odpowiada niezdecydowanymi gestami, niezmieniając wyrazu twarzy: drgnął tylko przy zwróconym do niego tytule.

W czasie złączenia się tej trójki nadchodzi ku zielonemu stolikowi kilku młodych ludzi. Z prawej strony pary pod rękę, rozłączającej się wkrótce, staje po odbyciu ciężkiego i sztywnego chodu nizka postać, czarna od głowy niekształtnej do szerokich spodni i naprawdę pokrzywionych butów. Na krótkim nosie cwikier, około obojga uszu — pod brodę — czarna przepaska (zęby).

Ku wolnemu krzesłu, przytykającemu do ciemnej zieleni stolika, podąża obok ścieśniającej się grupy barczysty młodzieniec o bladej twarzy, schowanej brodą w kołnierzyk; twarz ta zaaferowana na razie, szyja jeszcze głębiej niż zwykle w kołnierzu. Duży, choć niewybitny kształtem nos, wysokie, białe czoło, nad niem nizko w tył i na boki zaczesane ciemne włosy.

Idzie szerokimi krokami, chód kołyszący się — przedewszystkiem i głównie w przód się cała postać pochyla za każdym krokiem — chód „russkawo czeławieka“, przybranego tutaj w długi, czarny płaszcz z aksamitnym kołnierzem, który nieprzylega z tyłu do pochylonego karku, z przodu zaś godzi końcami okrągłymi prosto przed siebie. Płaszcz rozpięty; z pod niego widoczne ciemne ubranie, w któ-

rem charakterystyczne wązkie spodnie. Ręce bezwładnie wiszące zdają się spełniać jedno tylko zadanie: zaganiają postać swem kołysaniem się ku niezajętej stronie podokiennego stołu.

Spojrzawszy po drodze z boku na smokinga — siada człowiek w płaszczu na pożądanem krześle i pogrąża się, odwrócony od widowni i nie zważając na literatów, zaczynających ożywienie rozprawiać i w śmiech częsty wpadać, w notowanie jakieś na czemś białem, wydobytem gdzieś z kieszeni.

Ku tej grupie posuwa się od środka sali niewysoki młodzieniec o krótkiej szyi i gęstych brwiach. Na twarzy spokój i dobroduszność; ręce w tył założone, kroczenie powolne, krok za krokiem, z krótkimi przestankami, przytem równoczesne pochylania się postaci, szczelnie w surdut opiętej. Staje wreszcie przy stoliku, zaciera ręce — po długiej chwili opuszcza je ku stolikowi i spogląda grzecznie: od płaszcza począwszy i jego pisania, przechodzi wzrokiem nieangażującego się człowieka do wysokości bujnej i jednolicie u czoła, a ku górze tkwiącej czuprynie wysokiego młodzieńca obok smokinga. Wesołe spojrzenie rzuca pod gęste brwi obwiązany chyba — akademik.

W. Jakób.

Ogląda leżące na oprawie okiennej pudełeczko z jaskrawemi etykietami; robi to naturalnie powoli i niezmieniając seryo wyrazu twarzy.

Dobre tu były papierosy...

Gęste brwi = Nieborski.

To!? Ależ kolego! To zupełnie nędzne papierosy rosyjskie fabrycznego wyrobu!...

Mówi porywczo i z przekonaniem. Bierze od W. Jakóba pudełko i ogląda je, przybliżając doń twarz.

Ot, tu marka! To Osipowych papierosy! Pewno były żółte tutki? Mało warte!

Pyta W. Jakóba i mówi wogóle zgorszonym tonem. Podnosi przytem głowę człowiek w płaszczu, chce jakby i swoje doświadczone w tym względzie zdanie wtrącić, ale wstrzymuje się i wraca do swego pisania: Uważa je przecie za ważniejsze.

W. Jakób - Zöller.

Nieco zażenowany; pilnie ogląda znów pudełko.

Smoking = Oyrzanowski.

Wtrąca ze śmiechem.

To pewno te — 10 sztuk 6 kopiejek!

W grupie lekki śmiech i wesoły nastrój.

Na sali tymczasem ruch. Z sąsiedniego pokoju przynoszą sobie akademicy herbatę w szklankach na białych, porcelanowych podstawkach i kanapki. Gros zgromadzenia z kobietami posuwa się zwolna ku drzwiom w głębi.

Grupa literacka ożywia się pod wpływem gwałtowności na fortepianie, ku któremu padają jej pół-spojrzenia, i wogóle z ogólnem rozruszaniem się.

Zöller.

Kończy o papierosach.

Ależ gdzieżtam! Tutki nie były żółte, były zwykłe białe, w środku były skręcone liście...

Mówi powoli, bez szczególnego zajęcia.

Myśli w gromadce pierzchają od kwestyi papierosów. Wśród wesołości jednak podnosi ją zawiązany Browski (r wymawia z „trhudnością“ i stałem przy niem pokonywaniem chorobliwego przyrodzenia swego języka).

Browski.

Wiecie, Zöller pali „Harhem“...

Ogólna wesołość i ciekawość. Oyrzanowski zwraca się ku Browskiemu. Człowiek w płaszczu — Radlicki — podnosi głowę.

Browski.

Kończy.

Kupuje trzy damskie i jednego sułtana, miesza, i ma harhem...

W kółku wesołość. Śmieje się i Zöller, a Radlicki pochyla prawie wesołą twarz nad stolikiem.

Oyrzanowski.

Do Browskiego.

Brawo Kazik, udało ci się!..

Browski.

Przyjmuje z lekkim już tylko uśmiechem wyciągniętą do niego rękę:

Dziękuję ci, ale to nie mój wic; starhy..

Pociąga papierosa, idzie naokoło grupy i mówi:

Wiecie, spotykam wczoraj na ulicy Ulińskiego...

(Wskazuje na wysokiego z czupryną.)

Mówi mi, że idzie na wystawę sztuk pięknych, porhadziłem mu więc, aby najął sobie eksprhesa, posłał go tam, a będzie miał pierhwszy orhyginalny sąd!

Literaty wesołe: docięto komuś. Uliński przyjmuje to dość spokojnie: zdaje się niesłyszeć, — patrzy przez okno. Radlicki zato robi chytry grymas twarzy i wzrusza ramionami w sposób, wyrażający zadowolenie: wzgarda podwórkowo-społeczna (z etykietą wzruszająco swojską) dla sztuki z powodu małych jej — w jego mniemaniu wyznawców, niewyraźnie dla niego twórczych, lub wogóle — niepłodnych.

Z dowcipu Browskiego cieszy się trwalej Nieborski. Spogląda zadowolony po grupie, w ciągu minuty po dowcipie zaczyna się śmiać, pochyliwszy głowę i kręcąc nią — śmieje się wstrzemięźliwie, choć trwale, przez dwie minuty. Zwraca na to wypadkiem uwagę Browski: nowa podnieta. Uderza go w tem jakaś śmieszność.

Browski.

Do Nieborskiego.

Ale wiesz, Rhomek, ciekawyś był na twoim ostatnim odczycie. Sameś nie postawił Gozdawy Godlewskiego jako twórcy, a złościłeś się, gdy inni cię o to interpelowali albo sami to robili.

Niekulturalna obrona bezwładności własnej myśli!

Z chęcią docięcia.

Musiałeś być jakoś zagrożony, jeżeliś się tak bronił?

Nieborski.

Zwraca się, wesoło wprawdzie oburzony, ku Browskiemu: nie umie jednak znaleźć argumentu — za krótki czas. Wyciąga więc, hamując się nieco ze względu na zgromadzenie, rękę ku bliskiemu karkowi Browskiego; dowcipny Kazik cofa się.

Ty, Kazik, bo ja ciebie za drzwi wyrzucę...

Browski.

Cynicznie.

No i gdzie? Jeszczebyś którą z niewinnych koleżanek rozbił!

Kilka koleżanek stoi przy drzwiach w głębi.

Radlicki.

Podnosi głowę: chytro-dowcipno-cyniczny wyraz twarzy; przechyla głowę w bok i mówi urywanie:

Kto tam wie, kolego, kto tam wie?...

Czyni rękami ruchy, osobiście się zastrzegające.

Niesmak. Wszyscy odwracają się od Radlickiego, starają się jednak zrobić to niespostrzeżenie: brak odwagi własnej (szczególnie tu!) opinii. W każdym razie pogardliwe zignorowanie pseudo-żartu — jak mniemają.

Ku zamilkłym chwilowo literatom przecisnął się tymczasem młody człowiek o rysach wybitnie semickich, ściągniętych dziwnie — wstrętnie cynicznie — na pierwszy rzut oka.

Na jego widok jednak poweselały twarze w grupie: zwracają się w stronę jego przybycia, czekając jakby na odezwanie się kolegi Mauera.

Mauer.

Ze swym uśmiechem.

Cóż za radość taka była przed chwilą w społeczeństwie pseudo- i całkiem literackiem?

Spojrzenie okólne.

Uliński.

Stwierdzająco.

Ot, martwi wszyscy... Sypią jakimiś okruchami dowcipu...

Kółko szczerze stropione; oczy na chwilę ku dołowi. Tylko siedzący Radlicki podnosi głowę i patrzy po nich ironicznie.

Oyrzanowski.

Z przykrością.

Et, stara rzecz, nasza: Okruchy dowcipu, o ile nie jego płaskość, złośliwość po większej części, jako najłatwiejsza rzecz, — albo znów gnuśny niby — spokój...

Mauer.

Patrzy ze współczującem zajęciem na Oyrzanowskiego.

Cóżeś ty się tak nagle rozbolał?

Oyrzanowski.

Nagle? Dyabła tam! Widzę to nie od dziś — i nie na jutro. Na bardzo jeszcze długo!...

Wiesz, co mi się przypomina jeszcze zdawna? Nasza emigracya. Byli w środku samym ciętych, zgrabnych w dowcipie i w stosunkach wzajemnych Francuzów, a mimoto satyra emigracyjna na Mickiewicza, Towiańskiego, na Czartoryskich, pozostała gruba, ciężka, o szerokim, niezgrabnym zamachu.

Grono ożywione: materyał świetny, tylko niezainteresowany, opacznie, niepsychologicznie kształcony: naturalnie ci młodzi ludzie.

Zöller.

No, musicie wziąć swoją drogą nieszczęścia, ogólne i osobiste tych ludzi...

Oyrzanowski.

Owszem. Ale niemniej pozostaje faktem brak jakiejkolwiek inicyatywy w jednostkach do kształcenia się na wzorach, istniejących pod nosem.

I to się ciągnie przecie do dzisiaj...

Powiem wam n. p. rzecz taką — tylko schowajcie waszą drwinę...

Wśród literatów dość uprzejme „placet“ skinieniem głów. Baczna jednak, krytyczna uwaga. Radlicki wspiera głowę na ręce i patrzy na Oyrzanowskiego dość obojętnie z początku.

Oyrzanowski.

Bada naprzód wzrokiem sytuacyę.

Przyszło mi raz na myśl porównanie naszej karabeli i szpady francuskiej. I uderzyło mnie swoją, bardzo naturalnie przykrą oczywistością.

Zestawmy więc karabelę, krzywą jak wiemy, a w tył odgiętą, tem większą więc mającą drogę do celu, — i do tego jeszcze zamach polskiego ramienia — ze szpadą, godzącą wprost — i wprost też dążącą do celu pod kierownictwem francuskiej dłoni, a nie dalekiego ramienia.

Radlicki zainteresowany niezmiernie.

Zöller.

No i cóż z tego?

Mauer.

Czekaj Jakób, namyślisz się jeszcze w domu!

Powaga w gronie pierzchła: okazya do łatwego śmiechu. Tylko Oyrzanowski Radlicki pozostają poważni mimo chwilowego zadrgania ust.

Oyrzanowski.

Zostawiam to więc namysłowi waszemu; zaznaczę tylko, że można się mylić, przypisując długości trwania zamachu atrybut refleksyi: możność tej refleksyi, zgubna często dla czynu, jest, niema jej konieczności.

Konieczności tej sprzeciwiałaby się nawet anarchia szlacheckiego umysłu, i dorywczość reagowania pełno-krwistego temperamentu, również szlacheckiego.

Działalności zaś bezpośredniej dłoni można znów często przypisać natychmiastowy wprawdzie, ale często skutek chwili tylko, bez ogólnych widoków i — korzyści. Temu zaś sprzeciwia się także szczerze polska natura, — jak dotąd przynajmniej bywało.

Et! wlazła tu jednak karyera i skrajnie egoistyczna walka o byt. Szlachta przecie w bankructwie...

Radlicki.

Podnosi brwi i mówi szybko.

O! to, to dobre, chociaż zaczynałem być zły na was przedtem za tyle szlacheckości; ale co to za filozofia była przedtem?

Mauer.

Z najswobodniejszą ironią.

Nie tylko filozofia, kolego, ale nawet historyozofia. Uważacie? Tylko nie znienawidzcie odrazu tego —

Radlicki.

No, no! —

Oyrzanowski.

Z bolesną rezygnacyą.

Ale i rozmach nasz spospoliciał teraz. Umiemy się zamachnąć, ale pozostała nam w tem przeważnie tylko brutalna siła. To też chybiamy sedna rzeczy, a precyzyę myśli, i chęć choćby takiego doskonale rozważonego dotarcia do celu, przyjmujemy wrogo.

Tak, anarchia szlachecka, kończąca się w najlepszych wypadkach na szlachetnym dyletantyźmie, dyletantyźmie — bez przyszłości...

Mauer kiwa sceptycznie głową, choć bierze Oyrzanowskiego życzliwie pod ramię. Browski zainteresowany i przejęty. Zöller, spojrzawszy po Oyrzanowskim, pogrąża się w myślach, i puka palcami po stoliku, przerywając tem zdumienie jakby, przejawiające się w szerokiem rozwarciu oczu Radlickiego i zapatrzeniu się jego gdzieś.

Uliński przekłada coś sobie widocznie w swym bardzo rasowym łbie.

Oyrzanowski.

Żywo.

I jeszcze jedno. Nasz indywidualizm przerodził się przeważnie w ciasność, w zasklepienie się w sferze najosobistszego odczuwania. Mówię naturalnie o tych zmianach w jednostkach. Dostrzedz to można choćby w tem, że nasze osobiste, „indywidualne“ wady i niedomogi, wniesione od dwóch lub trzech dopiero wieków w krew naszą jako szczerze polskie — lub też różne,

złośliwie zauważone nizkie instynkta, przypisujemy w „naszym indywidualnym“ sądzie bliźnim naszym bezpośrednio, bez zmian w określeniu tych wad, a nawet — z dodatkami!

Radlicki.

Ładni tam bliźni! Wyrzućcie to katolickie pojęcie!

Oyrzanowski.

Dlatego mówię „bliźni“, że nam obco, o ile nie patetycznie brzmi w uszach: naszym rodakom, naszym polskim bliźnim.

Zöller.

Powoli.

Musicie tu jednak zauważyć, kolego Oyrzanowski, że nalazło wśród nas wielu zupełnie niepolskich bliźnich..

Oyrzanowski.

— Ach naturalnie, kolego, naturalnie!

Bruździ nam oprócz tego straszliwie zapominanie o własnym, ogromnym dorobku kulturalnym.

Wiecie, mam znajomego geologa, człowieka o żywym umyśle, zatem — o oryginalnych spostrzeżeniach i sądach; nieobawia się on patrzeć przez granice chwilowe i przez sztuczne płoty wieków. Opowiadał mi raz tedy o pewnej teoryi geologicznej, tyczącej się kataklizmów, przebywanych przez ziemię: zmieniały one w warstwach jej bliższej i dalszej powierzchni skład tejże i wygląd tak doszczętnie, że cechy i wartość geologiczna poprzedniej fazy znikały bezpowrotnie we fazie nowej, niepomiernie często gorszej w swym układzie i składzie od poprzedniej.

Radlicki.

No i cóż to ma do rzeczy?

Oyrzanowski.

Czekajcie, niecierpliwy barbarzyńco!

Tę zatem teoryę zastosował mój znajomy do historyi kultury polskiej. Były w niej wspaniałe nietylko już później prze-

miany, ale zasadnicze właściwości, o których — pozwolicie, że tak powiem — barbarzyńscy potomkowie zapomnieli i marnem swem życiem odjęli sobie sposobność choćby wydobycia na wierzch tych swych właściwości przyrodzonych.

W grupie zainteresowanie; pytanie ogólne, bardzo mało zresztą świadome, wypowiada najpraktyczniejszy

Zöller.

Cóż zatem, myślicie, że możnaby na to robić?

Oyrzanowski.

Zwracać się życzliwiej, i bez małpiej złośliwości tam gdzie są jeszcze cechy niedogaszone i widoczne, gdzie zauważy się tę słowiańską, królewską w swej dobroci pogodę, nieodłączną przez to od szlachetności mędrca!

Trzeba b a d a ć młodzież, i tam przedewszystkiem szukać takich wyjątkowych usposobień, — trzeba zapobiedz potem, aby hartująca się stal nie odgięła się pod zbytnim naciskiem nędzy i — obojętności rodzimego tłumu aż na inny niż ziemia świat...

Chwila.

Tak się traci pierwowzory społeczeństwa, zrozpaczone niemożnością zgody z tą trzecią częścią narodu, w której dzielnicy na świat przyszły...

...Potem, tylko ostatnia straż zostaje przy przedziurawionej głowie, zostaje matka, którą grom uczynił na chwilę świadomą całego zła istniejącego, i która szepce do otworu od kuli strasznie ciche wyrzuty, i skargi serca, na śmierć smutnego...

Ponure, przewidujące milczenie. Po chwili.

Browski.

W obronie życia gorączkowo:

A my? Cóż z nami?

Oyrzanowski.

I my już za starzy na to, opadnięci...

Przykra myśl:

Ot, był ten rozpaczliwy sen, i sen idzie dalej, sen gnuśny, zły za przebudzenie, wściekły za zmuszanie myśli do wysiłku...

Mauer.

...Plwający na wszystko swą nędzną śliną...

Po chwili.

Zöller.

Zachmurzyło się jednem słowem...

Uliński.

Ze słabym wyrzutem.

Ot, tam się weselą, przytupują sobie...

Pokazuje ku fortepianowi, który po chwilowej ciszy dostaje wśród ustawicznej zmiany przepływających obok niego słuchaczów i nowego grajka. Na krześle zasiada młody człowiek w ciemnym, anglezowym stroju, o szerokiej, czarnej z mory krawatce na kołnierzu. Twarz zniszczona już, żółtawa, o wyrazie zamaszysto-lekkomyślnym, małe wąsy, ledwo widoczne, — włosy ciemne i jakby wilgotne, zaczesane grzywkami ku skroniom.

Obok niego, gdy usiadł, staje zawiązany jego poprzednik: postawa sztucznie ułożona, ręce w kieszeniach. Wyraz twarzy zafrasowany czemś, należącem do jej właściciela.

Młodzieniec w szerokim krawacie porozumiewa się z publiką młodzieńczą naokoło fortepianu, i gra z zacięciem ku jej szczerej a rzadkiej radości — „Cake Walk" Harry Webstera.

Na to gromadzi się jeszcze liczniejsze grono wokół bardzo głośnego teraz instrumentu; „koledzy" przytupują w takt ze satysfakcyą wprost porywającą.

Rozmową poprzednią zainteresowało się mimo jej względnej gorącości, kilku zaledwie przypadkowo bliższych młodych ludzi. Stanęli i gapili się w sposób trwożnie bezmyślny, nawet — lekceważący dla mówiących.

Grupa pod oknem przypatruje się z chwilowem zastanowieniem weselącej się młodzi. Po chwili zwraca się Mauer do Oyrzanowskiego i niszczy częściowo dumanie grupy.

Mauer.

Przy Oyrzanowskim.

No, no, toś ty gorący jeszcze, Antoś!

Oyrzanowski.

Z ironią.

Gorący, gorący!...

Radlicki.

Z odrobiną złośliwości.

Napiszcie o tem co!

Oyrzanowski.

Smutnie kiwa głową ku Radlickiemu.

Chyba po to, kolego, ażebyście wy, i tacy jak wy, to dobrze odczuli....

A pozatem?

Ożywiony, mówi z urągającym tryumfem.

Zresztą — ja całem mojem życiem przeżywam poemat, kolego Radlicki! Mam w niem i tragizm najgłębszy, i prawdziwy, bo wynikły z całej budowy faktów, tkwiących swym początkiem w mem życiu, a których skutek byłby niewątpliwie tragiczny, a tak przecie najniespodziewaniej często możliwy!

Uliński.

Tak, jest nad nami pod tym względem jakaś siła fatalna, która zbliżyć może zupełnie nieoczekiwanie jakiś cios gruchoczący, a może go znów odchylić na lata, i na drugie po nas pokolenie...

Oyrzanowski.

Szczerze uradowany.

A, wspaniale Adaś, wspaniale!

Uliński przyjmuje to spokojnie.

Mauer.

Do Oyrzanowskiego.

No, a szczęścia doznajesz?

Oyrzanowski.

I jeszcze jakiego! Zupełnego, z najdrobniejszymi szczegółami, tylko — że niespełnionymi dotąd w życiu mojem, wymarzonymi...

Radlicki.

Oj, to, to! Wy literaci nie umiecie potem żyć!

Oyrzanowski.

Literaci! Proszę!

Literatem moglibyście być i wy. Co do mnie zaś — to zapamiętajcie sobie w zacnej pamięci: Jestem artystą, w życiu, i — w twórczości mojej.

A co do szczęścia, to mówię wam, że jak na nas szczęście przyjdzie, to takie, o jakiem wy znowu nie macie pojęcia.

Radlicki.

Może to i lepiej...

Po pewnej chwili.

Zöller.

Zwraca się do Mauera, chrząka: hm, — i pyta z nieco sztuczną wytrawnością:

A cóż ty, Maks, sądzisz o swoich, o żydach?

Mauer.

Z niewiadomym uśmiechem.

Chcesz wiedzieć? Chorują na przykrą i ostrą w przebiegu rzecz: Nie mają średniej warstwy moralnej.

Uliński.

Wskazuje na Mauera, uśmiecha się objektywnie.

O ile zaś mają, to tacy są ze siebie niezadowoleni...

Mauer.

Sceptycznie.

A inni — z nich..

Zöller.

Którzy inni?

Mauer.

Swoi i obcy..

Nieborski.

Swobodnie.

Fatalnie zatem! Ogólne niezadowolenie!

Oyrzanowski.

Choć wiesz, co ci powiem, Maks!

W sprawach literackich ufam swoją drogą często daleko więcej żydom, niż naszej, t. zw. chrześcijańskiej publiczności,

zagubionej we większem zróżniczkowaniu się odczuć, — nie powiem: Spostrzeżeń i zauważeń, co do których znowu ustępują miejsca żydom. Ci zaś nie mają często co z tem zrobić; mała luka: Brak syntezy jakiejś swojskiej, rodzimo żydowskiej.,.

Pauza. Po chwili.

Radlicki.

Poznajcie się w takim razie z tą nową koleżanka, ot tam, z pod okna; to żydówka, i miała mieć w życiu różne interesujące przejścia...

Oyrzanowski.

Patrzy się tam z uśmiechem.

Aha, myślałem już o tem —

Radlicki.

Wiecie, o co ona zapytała Jurkiewicza przy poznaniu go?

Ogólne zaintrygowanie. Wietrzą coś drastycznego.

No, no?

Radlicki.

Mrugnąwszy.

„Czy jest zmysłowy“.

Zöller.

No tak, Przybyszewski zapewne.

Wśród chwilowej ciszy w grupie, pyta

Radlicki

Mauera.

Wy kolego medyk?

Boście mówili tak specyalnie o tem „chorowaniu“ przedtem...

Mauer.

Nieodpowiada wprost; kiwa głową i zwraca się do Oyrzanowskiego — ruch ręki ku Radlickiemu.

Niewykształcony człowiek!

Oyrzanowski.

Nie rozumie.

Jakto?

Mauer.

Spokojnie.

No, niezna przecie biografii sławnych ludzi...

Wszyscy mniej lub więcej szybko dorozumiewają się; ogólna wesołość. Wśród niej grupa rozchodzi się zwolna.

Radlicki wstaje i idzie za Oyrzanowskim: ten zwraca się do niego. Idą razem ku przodowi sceny.

Radlicki.

Proszącym tonem — przeciąga wyrazy.

Słuchaajcie, koleego, pożyczcie mi na telegram! Matka chora, a tu do Królestwa dużo kosztuje!

Dziś 29-ty: Na pierwszego wam oddam!

Oyrzanowski.

Spokojnie, choć widocznie poruszony.

Ach tak, dobrze, dam wam, ale nie mam drobnych. Idziecie teraz na telegraf?

Radlicki.

...i wracam tu. —

Oyrzanowski.

Wyciąga z kieszeni pugilares i daje go pewnym ruchem ręki Radlickiemu.

Macie; weźcie, ile wam będzie potrzeba!

Radlicki.

Ściska rękę Oyrzanowskiego, pochyla ku niemu głowę, i tak mu w oczy patrząc, mówi przeciągle i z tymsamym akcentem prośby:

Dziękuję wam!

Odchodzi ku drzwiom w głębi.

Oyrzanowski idzie ku drugiemu oknu z prawej strony. Siedzi tam rudowłosa koleżanka Owieńska, obok niej, w niedbałej pozie, długowłosy Jurkiewicz: wzrok ku ziemi, ręce zwisłe z krzesła — postać jakby bezsilna. Zobaczywszy Oyrzanowskiego, ożywia się nieco dekadent, wstaje od boku Owieńskiej, z którą od czasu do czasu mówił — przyczem ona zasłaniała sobie nadal oczy dłonią i siedziału tak pochylona, odwrócona od widowni.

Jurkiewicz.

Idzie znudzonym krokiem ku Oyrzanowskiemu.

Ot, i sknocili wieczór! Boć te śpiewania! Deklamacye!...
Ach, wstrętnie się czuję!

Zrzuca jednak wkrótce znudzoność. Pyta Oyrzanowskiego.

Chcecie, żebym was zapoznał z Owieńską?

Oyrzanowski.

Spogląda ku niej; obaj przechadzają się w pobliżu.

Dobrze, ale możebyście się jej spytali, czy chce, czy pozwoli?

Spogląda ku Owieńskiej, która patrzy teraz na nich jakby błędnemi oczyma.

Jurkiewicz.

Ale głupstwo, chodźcie!

Podchodzą do Owieńskiej; ta prawie się do nich zwraca.

Pozwolicie, koleżanko — kolega Oyrzanowski, dzielny chłop; żyjemy z nim bliżej.

Witają się; Oyrzanowski siada przy Owieńskiej, która po chwili, spoglądając po nim — mówi dość cicho z królewiackim akcentem, melodyjnie; r nieczysto wymawiane,

Owieńska.

Wy, kolego, to musicie być filistrem...

Oyrzanowski.

Urażony nieco.

Dlaczego, koleżanko?

Znów spokojnie już, i z humorem — patrzy też po sobie.

A, tak, dobrze jestem ubrany — wyglądam solidnie...

Ale zapewniam was, tak źle, jak myślicie — nie jest... Choć robiono już co do mnie podobne obserwacye, nazywając mój wygląd grzecznie: solidnym...

Owieńska.

Z lekkim uśmiechem pyta.

Więc nie jesteście?

Oyrzanowski.

Śmiejąc się.

Nie, koleżanko, nie!

Zwolna większa swoboda między tem trojgiem ludzi.

Owieńska.

Do Jurkiewicza zwrócona.

Taka, wiecie, jestem zdenerwowana...

Oyrzanowski.

Troskliwie.

Czemże, koleżanko? Czy dzisiejszym wieczorem?

Owicńska.

Półzwrot oczu ku niemu.

Nie, wie Pan, owszem — akademicy tacy weseli ludzie — ot, jak się rozbawili!

Oyrzanowski.

Krzywiąc się.

Nudni ludzie!

Owieńska.

Pogodnie.

Jak i wszędzie kolego. I w Krakowie taksamo, i we Lwowie, w Paryżu...

Zwraca się do Jurkiewicza.

Wy wiecie, że ja byłam w Paryżu?

Odpowiedź bez zajęcia się.

Wiem, wiem...

Na sali tymczasem wielki ruch. Wszystkie koleżanki, oprócz Owieńskiej, opuszczają lokal kółkowy. Za chwilę dopiero wchodzi spokojnie i kroczy po sali, bawiąc się złotym łańcuszkiem od zegarka — była właścicielka krzesła 5-tego.

Owieńska, dobrotliwie pochyliwszy głowę i patrząc bokiem po zgromadzeniu:

Ja też w kolegach nie widzę mężczyzn, ale czuję się dla nich jak siostra, jak matka. Bo też to takie dzieci!

Oyrzanowski.

Przypatruje się jej uważnie.

Czemże jednak Pani taka zdenerwowana?

Obojętnym tonem odpowiedź.

E, bo wiecie, od miesiąca już chodzę o 4-tej rano spać, a o 8-mej muszę już wstawać...

— Co jednak robicie tak długo? Czytacie?

— Ot, czytam, piszę...

— Cóż piszecie?

Owieńska znów przeważnie do Jurkiewicza; przypatruje mu się.

— Szkice z życia. Robię też prace z przyrody.

Zajęta teraz wyłącznie opadłą postacią Jurkiewicza — kładzie rękę na jego ręce. Łagodnie.

— Jurkiewicz!? Co wam się dzieje?

Pochyla się ku niemu:

— E, wiecie, tak upadamy wszyscy, upadamy...

— Wcale nie, kolego, wcale nie! Ot ja, odkądem tu przyjechała, czuję się bardzo dobrze, coraz lepiej!

Oyrzanowski troskliwie:

— Tylko czemu wcześniej spać nie chodzicie? Jeżeli musicie o 8-mej wstawać...

— Ano, trudno...

Patrzy na Jurkiewicza — przysuwa się jeszcze do niego, mówi:

— Ale wiecie, jak tu duszno!

Muszę wyjść stąd — choćby do drugiego pokoju, — aby odetchnąć — bo inaczej bym zemdlała...

Wstaje i idzie zwolna przez salę. Pod okno przychodzi z pośpiechem, wynagradzającym kalectwo, — akademik — kulawy blondyn i siada przy Oyrzanowskim. Pyta ciekawie:

— Coż, jakże wam się zdaje Owieńska?

— Jak widzę, interesujecie się nią...

Kulawy blondyn żywo:

— Nie, ale znam ją jeszcze z Krakowa. Ciekawa niewiasta. Dużo o niej mówią.

Do rozmowy miesza się Jurkiewicz: mówi z pewną pretensyą:

— Znacie ją?

— A jakże! Pamiętam ją stamtąd.

Ona coś ma być podejrzanej konduity!?

Z lekkim wyrzutem pyta go Jurkiewicz:

— A to dlaczego, kolego?

— A wiecie, widziałem ją na Plantach, późno w nocy — szła z jakimś mężczyzną w pelerynie. — nawet, czy to nie z wami?

Jurkiewicz poważnie:

— I to może być.

Ale wracając do Owieńskiej — to zupełnie fałszywie ją sądzicie. Co do mnie — to uważam ją za jedyną i pierwszą u nas kobietę postępową — w tych naturalnie studenckich

stosunkach. Zerwała z wszystkimi przesądami, mieszka po kawalersku, przyjmuje u siebie kolegów...

Ach! nie macie pojęcia, jaki to ma urok! Po obcowaniu z taką swobodną, a uczciwą kobietą, nie może człowiek patrzeć na ulicznicę.

Kulawy blondyn seryo:

— Byle tylko uczciwą! A wiecie przecie, że wśród nas — trudno o to.

To wszystko zresztą zależy od niej, od jej taktu...

Odpowiada mu rozważnie Jurkiewicz

— Naturalnie!

A było popatrzeć na te tu koleżanki; wszystko przybrane w gorsety, modnie, przyciągająco — a tak widać w nich próżnię, nudę...

A Owieńska!? Porównajcie tylko!

Kulawy blondyn

No, dobrze. Ale dlaczego ona z domu swego poszła? Musi przecież mieć gdzieś rodziców?

— Naturalnie, ma ich w Królestwie, ale wyemigrowała z domu. Jak mi opowiadała, krępowali ją tam na każdym kroku.

Et, coś podobnego każdy z nas, żywiej czujących, przechodzi!

I ona więc zerwała z tem; poszła za popędem duszy, do sztuki, do nauki. —

— Jakto: do sztuki?

— Ano, pisze coś tam. —

— No, no, zobaczymy co z tem będzie. —

Kulawy blondyn wstaje i idzie w ciżbę Oyrzanowski słuchał ciekawie, a teraz kroczy powoli z Jurkiewiczem przez salę ku drzwiom w głębi.

Tymczasem cygańskość, grana na fortepianie i nieobecność koleżanek rozgrzały kolegów. Nucą w dalszym ciągu melodyę głośno a żywo.

Pod okno wraca tymczasem Owieńska z Jurkiewiczem; niosą herbaty i kanapki. Pożywiają się. Nadchodzi Oyrzanowski. Nastrój już o wiele weselszy.

Oyrzanowski żywo:

A, pijecie państwo herbatę — trzeba sobie to sprawić!

Wydaje polecenie jakiemuś kręcącemu się po sali usłużnie chłopakowi.

Chwila.

Owieńska mówi z uśmiechem do Jurkiewicza:

Wiecie, mam teraz na cały tydzień guldena!
Niewiem, kiedy mi po pierwszym przyszlą, i — czy wogóle przyszlą!?

— Dlaczego nie mieliby przysłać?

— Ale, ale — wiecie? jutro mój ślub w kościele z jednym akademikiem, z którym się wczoraj zaznajomiłam.

Śmieje się słabo.

Oyrzanowski

Patrzy ciekawie:

Naprawdę?

Jurkiewicz.

Ale dajcie spokój, chce wam się jeszcze żartować!

Owieńska.

Z troską:

Ale wy, Jurkiewicz, z wami będzie lepiej!
Możebyście ze mną zamieszkali?

Odpowiada jej Jurkiewicz zawsze jeszcze znękanym głosem w znękanej postaci:

— Ach wiecie, jakby to byczo było? Razembyśmy sobie mieszkali, żyli razem...

— Jakto — żyli razem?

Pyta seryo i z niezmąconym spokojem Owieńska — kobieta,

Jurkiewicz.

Z lekkim uśmiechem.

No — jakto!
Czytalibyśmy, wybyście mi herbaty zrobili, byłoby z kim po ludzku pogadać, i t. d. i t. d.

Mówi dość znudzenie ku końcowi.

— Właśnie, że żadne i t. d.! Żadne!
Bo to widzicie, można rozmaicie rozumieć...

Jurkiewicz, zwróciwszy się do Oyrzanowskiego.

Żebyście też wiedzieli, jaka koleżanka jest dobra!
Byłem raz w Krakowie u niej...

Owieńska uśmiecha się

I spił się u mnie —

Jurkiewicz spuszcza głowę.

No, niemacie się znów czego wstydzić!

Jurkiewicz pełen rzewności:

...no i pomyślcie sobie — koleżanka mnie rozebrała, położyła do łóżka, herbaty przyniosła, herbaty! pomyślcie sobie, co wtedy dla mnie znaczyła herbata!..

Owieńska macierzyńsko.

Tak się napił, taki był grzeczny!.. A co nie wygadywał wtedy...

Jurkiewicz dalej do Oyrzanowskiego.

No i wyobraźcie sobie: kiedym się wyspał, przyszła znowu i wyprowadziła mnie na spacer na Planty!

Bosko mi było wtedy na Plantach!

Owieńska.

Taak, taak!

Patrzy chwilę przed siebie. Zwraca się do Jurkiewicza.

Ale wiecie, ja już pójdę, bobym tu chyba zemdlała. —

Wstaje, bierze gdzieś z okna torebkę swoją. Idzie wśród gromadek kolegów, rozstępujących się przed nią: patrzą ku niej podejrzliwie. Robi wśród nich sensacyę, mówiąc głośno do idących za nią Jurkiewicza i Oyrzanowskiego:

Teraz wiecie, tobom się przechadzała i do piątej rano

Koledzy się uśmiechają w swej „prostocie“ wcale niedwuznacznie, — trójka n Owieńską dąży ku wyjściu. Jurkiewicz przy szaragach ubiera ostentacyjnie swą pelerynę.

Podczas tego wnosi dwóch kolegów tacę z kanapkami. Krzyczą:

Koledzy! Reszta kanapek!

Ktoś podchwytuje.

Do zjedzenia!

Ci z tacką.

Do zjedzenia po 5 ct.

Uwaga pierzchliwa zgromadzenia zwraca się ku kanapkom. Kilku przekonuje tych z tacką, że cena za wysoka.

Radlicki, który się tymczasem znów zjawił na sali, dąży z życiem do tacy i krzyczy pełnym i dźwięcznym głosem prowincyonalisty — Lubliniaka:

Strejk, strejk! Niech taniej dadzą.

Od fortepianu ktoś krzyczy:

Licytacya! kto da mniej?

Po sali śmiech.

Brawo! Brawo!

Gwar. Fortepian dudni. Z tłoku wypada Radlicki, trzymając tryumfalnie w rękach dwie kanapki. Podchodzi z niemi ku przodowi sceny, gdzie przy zielonym stoliku siedzą: Oyrzanowski, wesół i uśmiechnięty, i obojętniejszy na całą scenę Uliński. Radlicki krzyczy do nich:

Po dwa centy!

Przy stoliku niedowierzanie.

Jak Boga kocham!

Krzyczy z głębokiem przekonaniem, wskazując ręką i napół zjedzoną już kanapką na tłok wokół tac. W tej chwil drugą kanapką częstuje Oyrzanowskiego i Ulińskiego. Oyrzanowski wzbrania się:

Nie, dziękuję wam kolego, jedzcie sami!

Uliński też się wzdraga, ale przyjmuje i je, kiwnąwszy Radlickiemu głową ciągle zamyślony.

Radlicki łazi po scenie — w płaszczu naturalnie, Tace puste wynoszą, Ci sami koledzy wracają po chwili, krzycząc:

Już poszły! Już poszły!

Fortepian ucicha. Na sali głosy:

Kto? kto?

Ci od tacy i kilku innych:

Koleżanki od bufetu.

Ogólna wrzawa:

Brawo! Brawo!

Wielkie ożywienie na sali. Gwar wzrasta. Fortepian gra Marsyliankę: wszyscy śpiewają. Refreny Marsylianki. Chwila przerwy, i oto niespodzianie podaje fortepian nutę „Czerwonego sztandaru“. Wszyscy śpiewają wesoło.

Nagle — przez salę biegnie Radlicki, zaróżowiony, zalterowany; resztę kanapki trzymanej w ręce podniósł w górę, — oczy rozszerzone — krzyczy:

Pogotowie! Na Kulparków! Coś im się stało!

Przy końcu „Czerwonego sztandaru“ robi kilku Bogu ducha winnych kolegów szopkę, śpiewając go zbyt ludowo.

Teraz garnie się wszystko do fortepianu. Gra na nim dalej młodzieniec o nieco zniszczonej twarzy. Próbuje:

Na sali głosy:

Coś do tańca! Coś do tańca!

Modny, o subtelnej melodyi walc. Rozbawione zgromadzenie wypycha rozmaitych niezgrabiaszów do tańca, między nimi starszego już żydka, który przez cały czas poprzedni, uśmiechając się ciągle do siebie, dosłownie dreptał po scenie, trzymając ręce po łokcie przy ciele, a od łokci prowadząc je do siebie dłońmi i bawiąc się ustawicznie palcami. Ubranie na nim oryginalnie tabaczkowe, berdzo widocznie pomięte, na niskim bardzo kołnierzu czarna krawatka, zupełnie swobodna w wybraniu sobie miejsca tkwienia z przodu i z tyłu.

Teraz, wypychany, próbuje wziąć kogo do walca, ciągle granego; nikt jednak nie chce narażać się na śmieszność. Gwar nieustający, docinki i żarty, pokazywanie sobie dziwaka, który wreszcie wciąż wśród swej zwyklej zabawy palcami, sam robi tur kilka, przechylając się zbytnio w boki. Oklaski.

Teraz zbliżają się do estrady Oyrzanowski i kołyszący się Radlicki.

Radlicki

do Oyrzanowskiego z rzewną tęsknotą w głosie:

Żeby tak co „pa matiuszke“ zagrali!

Fortepian cichnie. Gwarna narada. Projekty. Wreszcie fortepian poddaje, a całe z małemi wyjątkami (oczywista zgoła niemuzykalnemi) zgromadzenie śpiewa, przytupując sobie do taktu:

Na wirchicku sinym
młody juhas stał!
Na frajerkę wołał,
ugwazyć se kciał!
Gdy nie psisła wnet,
zabacył ją het!
Bo...

Melodya zeszłowiekowej, najniemożliwiej popularnej piosenki: Na zielonej — trawce... grana w e-dur. Przy „bo“ biorą wszyscy wysokie a.

Ten jeden ton tylko. Ogólny hałas: słychać krzyki:

Ależ koledzy!

Zresztą ogólne zadowolenie. Koledzy z całą satysfakcą zwracają się do siebie, śpiewając dalej z zacięciem melodyę, powtórzoną od „gdy“.

Po uderzeniu z siłą w fortepian wysokiego a słychać głośne pukanie i stuk we drzwi przy fortepianie. W odpowiedzi kopie w te drzwi pianista bokiem nogi z rozmachem i r z n i e d a l e j:

Gdy nie psisła wnet...

Na sali przerzedziło się już znacznie. Główne skupienia: największe koło fortepianu, — druga grupka i trzecia porozmieszczały się po krzesłach. Siedzą tam mło-

dzi ludzie swobodnie, przysłuchując się mniejwięcej z wesołą miną śpiewom i melodyom, które śpiewają od czasu do czasu swoimi głosami.

W sali drugiej, w głębi, prawie całkiem pusto.

Studenci przytupują w takt gry i śpiewają, — gdzieindziej znów rozmowy dość głośne, co razem składa się na duży gwar, czasami — hałas.

Pieśń jedna idzie za drugą. Fortepian wygrywa melodye. Na nutę obrzydliwie popularnej polki „Na Maryanku“ śpiewa młodzież:

Kiedym miała lat 15-ście, nie wiedziałam nic...

Więcej słów nie słychać.

Bezpośrednio potem na nutę drugiej części „Marsza Bersalierów“.

Panienka dokąd ?. do Jarosławia!
Panienka jedzie cugiem złym!
Konduktor...

Melodya potem znów.

Panienka dokąd ? Do Drohobycza!
Panienka jedzie cugiem złym ..

Śpiewane z wielką satysfakcyą. Ożywienie wydobywa z młodych ludzi inicyatywę (O !) w powiększaniu efektów muzyki. Młody akademik — poeta z ogromnem czołem, „wyczochranem o chmury“, kładzie na strunach (wieko podniesione cały czas) gazetę w drewnianej oprawie. Zachęcony i rozgrzany udałą próbą, rozkłada obok bielejącego dziennika metalową papierośnicę.

Nagle — cisza ogromna w sali. Najbliżsi rzucają się ku wnętrzu fortepianu i biorą z oniemiałego również chwilowo na strunach porttabaku papierosy. Następnie powrót do poprzedniego.

Z gromady, tłoczącej się obok fortepianu, wyodrębnia się jakiś młodzieniec o bujnej, ciemnej czuprynie i ostro wykręconych wąsach. Prawa ręka na białym temblaku. Za jego ukazaniem się na podyum żywe zadowolenie młodzi: widocznie specyalista od wesołych rzeczy. Zaczyna śpiewać, przyuczając fortepianistę, kuplet „Raz do lasu poszły dwie — jedna miała wąsy, a druga zaś nie.“ Oddaje wszelkie subtelności utworu.

Wśród następnego śpiewu n a g ó r a l s k ą n u t ę

Hej! hej! Na góze drabinka!
Na góze drabinka!..,

Rozlega się wolanie Zöliera:

Koledzy, zaraz gaszą światła!

Stuk zamykanego fortepianu. Ogólne ubieranie się wśród gwaru i tłumne dążenie ku drzwiom w głębi. Idzie tam też przez salę kołyszący się Radlicki. Płaszcz rozpięty — kapelusz w górę, i krzyczy tego:

Panowie! Chodźmy nastraszyć policyę!

Ogólna burza i tłoczenie się we drzwiach. Światła gasną wśród tego.

Koniec części I-szej.

AKT II.

Jesteśmy w porządniejszym pokoju kawalerskim. W rogu, całkiem na lewo stoi wygodna kanapa z bocznemi oparciami, przy niej wąski stolik i dywanik. Poza niemi, pod oknem, w lewej ścianie, kosz z zasuszonym fikusem, który rozkłada bezwładnie swe martwe liście.

Przód sceny po lewej zakończony elegancko ciemnym, na mahoń zasmarowanym stoliczkiem na trzech wątłych nogach, również ciemną czerwoność mahoniu imitujących.

Na przodzie sceny, pośrodku prawie — biurko, na okazalszych, tęgich u nasady podporach — nogach. Po jego bokach dwa nizkie, okrągłe foteliki, przed nim trzcinowe, wygodne krzesło z poręczami, o przyjemnych wygięciach swych linii, a wyścielone czemś nawet przez całą swoją długość. Biurko zaścielone książkami, manuskryptami — wogóle drobiazgi pisarskie, wśród których pokaźniejsze pudło, na któremby dalekowidz wyczytał „Papier francais"; ponad to wszystko wznosi się lampa, stercząc szkiełkiem nad mleczno-białą, okrągłą zupełnie umbrelką.

Do prawej ściany przypiera użyteczna szafa, za nią zaś kryją się drzwi. W prawym rogu tkwi spory, kaflowy piec, niedaleko od niego, przy ścianie trzeciej, tualeta z migocącem zwierciadłem. Przestrzeń między nią a sofą zajmują na tle zamkniętych, dwuskrzydłowych drzwi, dwa zwyczajne sobie krzesła; górne brzegi obu kryją się pod białymi kawałkami płótna: przypuszczalnie ręczniki.

Na jednem z krzeseł wreszcie — miednica.

W pokoju ciemno; na sofę tylko pada silny promień zielonawy od latarni, tkwiącej za oknem w trotuarze.

W nocną tą chwilę słychać we drzwiach na prawo wkładanie klucza i energiczne obrócenie nim; przez otwarte drzwi wchodzi osoba w kapeluszu: znany toczek z wesołej sali stowarzyszenia akademickiego, — oprócz niego pod szyją rudej Lili Owieńskiej, czarny zwierz jakiś, spadający martwemi kończynami na czarny z pelerynką paltocik.

Ruchy osoby energiczne; zamyka za sobą drzwi i odchodzi od nich na pokój,

N a g l e głos altowy kobiety snać już starszej — w nim niepewne co do szczerości akcenty — odzywa się z za drzwi w środku, a w głębi sceny:

Czy to pani, Panno Łucyo?

Owieńska zatrzymuje się, słucha:

Tak proszę pani. —
Pani jeszcze nie śpi?

Pyta zdawkowo.

— Nie, jakoś dziś później poszłyśmy.
Jak tam wypadł koncert?

Owieńska zwraca się swobodnie całkiem ku drzwiom:

Niebardzo, niebardzo! — były deklamacye, gry na fortepianie.

Chwila.

— A dobrze grali?

(Zasada: fortepianie, ty mnie prowadź aż do granic nieba, lecz — do odległości, z której by cię tam nie usłyszano).

— A dobrze, wcale dobrze! Tak mocno.

Rzecze Owieńska wesoła.

W tej chwili jakiś cień u okna wtargnął brutalnie w promień światła. Owieńska ogląda się ku oknu i kiwa ku niemu ręką, jakby chcąc nakazać ciszę.

Głos po chwili:

Dobranoc Pani, Panno Łucyo!
— Dobranoc, dobranoc!

Domawiając, podchodzi ku oknu; uśmiecha się w świetle i opiera się o futrynę. Cofa się potem i znów podniesioną ręką nakazuje ciszę. Z wielką ostrożnością odsuwa od okna kosz z fikusem, otwiera — zatrzymując się przy każdym odgłosie, okno wewnętrzne, następnie jeszcze ostrożniej zewnętrzne, ku pokojowi.
Od ulicy wydrapuje się ktoś nu okno, — Owieńska kładzie palec na usta.

Owieńska-szept.

No, dajcie mi pelerynę, — łatwiej wam będzie —

Z za okna odzywa się męski głos swobodnie głośno:

A wiecie, dobrze. Weźcie.

Owieńska unosi z za okna zawiniątko i rzuca je na kanapę. Tymczasem cień usunął się ze światła: słychać lekki rozpęd i do pokoju wskakuje sprężyście młody człowiek — Jurkiewicz, w fantastycznym na głowie kapeluszu. Owieńska go mityguje:

Cicho, cicho!

Noo — to dobrze, przynajmniej stróż nie będzie wiedział żem z wami przyszła, a i stąd —

pokazuje ręką na drzwi w głębi

nie będę miała nowej nieprzyjemności...

Lecz Jurkiewicza ruchy już znowu niedbałe, chód powolny, kiwliwy, głos o matowem brzmieniu — corazto z akcentem rozdrażnienia.

E, co wam tam...

Powolna przechadzka po pokoju.

Dość byczo tu mieszkacie...

Prawie mimowolnie miarkuje się w sile głosu. Widzi przy drzwiach na prawo coś bielejącego w górze.

Cóżeście tu powiesili?

Odtąd rozmowa półgłośnym szeptem; czasem tylko Jurkiewicz nie hamuje się w swobodzie mówienia.

Owieńska odpowiada mu obecnie z cichym śmiechem:

A wiecie, dostałam awizacyę, wypowiadającą mi mieszkanie.

Szybki gest ku drzwiom w głębi.

Zobaczyłam tu na drzwiach gwóźdź i nabiłam ten papier urzędowy; wiecie — lubię tak papiery urzędowe: takie poważne...

Mam przy nich uczucie czegoś pewnego siebie i — mocnego...

Jurkiewicz.

Wciąga głośno powietrze nosem.

Aa, wy to tak bierzecie!?

Bo ja myślałam sobie: Byczo! Podoba mi się taka niefrasobliwa niewiasta, — papiery urzędowe przybija na ścianach...

Owieńska.

Podchwytuje.

No naturalnie, przecież ja dla tego...

Swą brodę w szpic kręci Jurkiewicz. Pyta po chwili.

No, i jakże z wami?

Idzie zwolna ku kanapie i sadowi się tu ociężale. Owieńska rozbiera się tymczasem z drogi, pozostając w bielejącym serdaczku. Namyśla się i odpowiada:

No, wiecie przecie — nieźle —

Jurkiewicz popada w rzewność; zasłania oczy rękami i biada ze zrezygnowaniem:

Ach, ta noc, ta noc! Ta noc majowa!

Dodaje marząco:

I ten Kraków kochany!

Żebyście wiedzieli, jak ja płaczę wprost czasem za Krakowem, za tamtymi czasami...

Chociaż — jaka to nędza była wtedy...

Owieńska zatrzymuje się przed nim i współczuje mu:

— Jakto, nędza!?

Aha, to nocowaliście w lokalu „Młodości“?

— Oj, te nocowania! Jakie to straszne było! Nie miałem wówczas nikogo znajomego, dopierom co był przyjechał z Królestwa, — musiałem przecież czemprędzej uciekać, bez pieniędzy, bez rzeczy...

Dobrze jeszcze, że w „Młodości“ pozwolili nam spać, mnie z Radlickim.

Ach, wstrząsałem się przed tym brudem, jaki tam był: Ze trzy lata chyba nie zamiatali podłogi...

Wstrętne to było! Wreszcie — my sami wzięliśmy się do zrobienia porządku...

Owieńska, założywszy częstym swym ruchem ręce na piersiach, pyta:

— A gdzieżeście tam spali?

— Na kanapach.

A na kanapie — rano — ani rusz wstać. Sprężyny wystające chwyciły nogę jedną, drugą, chwyciły tu w pasie — mówię wam: ani rusz.

Do tego jeszcze przylgnęło się do ceraty...

Jurkiewicz teraz obrazem przygnębienia. Wzruszony, pociąga nosem: Mówi z prawdziwym bolem:

A ci, co uciekać, wyjechać ztamtąd nie mogli, co zostal tam na zmarnowanie, bo szkół kończyć nie mogli...

Nikt o nich nie wie, nikt nie pamięta, a to straszne jest... ich los...

Długa chwila milczenia; wreszcie — Jurkiewicz kończy:

I wtedy właśnie, w tych strasznych czasach, wyście Lil byli taką dobrą dla mnie, — takeście się mną zaopiekowali — tej nocy...

Pociąga ją z lekka ku kanapie; kładzie sobie jej ręce na głowę; potem odsuwa je, wstaje i mówi prawie dziecinnie:

Tak mi się chce płakać!..

Po chwili siada mniej niedbale; ruch zapraszający ku Owieńskiej.

Siądźcie tu koło mnie, Lili...
Zawsze myślę o tej waszej dobroci wtedy...

Owieńska siada koło niego; zaplata ręce — patrzy na niego:

Jurkiewicz, Jurkiewicz! Co wam?

Rozdrażniony mówi do niej szybko:

Nie nazywajcie mnie Jurkiewiczem! — mówcie do mnie „Romanie“, po imieniu!

Owieńska czyni gest ostrzegający ku drzwiom w głębi; następnie odzywa się spokojnie, powoli, nieco w tem troski:

Nie mogę do żadnego mężczyzny mówić po imieniu — bo wiecie przecież — Stefek...
Ja już kilku takich wyznań słuchać nie chciałam...

Jurkiewicz odpowiada jej z pretensyą:

A ja do was zawsze mówię „ty“ prawie, „Lili“, wiecie, co?
— Taak?
Wiecie, że nie zauważyłam...

Jurkiewicz.

Po chwili, prawie jękliwym głosem.

Ja jak się raz zirytuję, to to mnie trzyma kilka dni. Nic się nie złoszczę, nie urągam, tylko łażę blady...
A wy tu jeszcze ze Stefkiem...

Owieńska.

Zamyślona:

Strach, co ten dekadentyzm u nas wyrabia!
Ile wy lat macie teraz?

Jurkiewicz.

Nadal ponuro:

Dziewiętnaście.
— Strach, Strach!
— Ach, żebyście wiedzieli, czasem jestem taki zdenerwowany, że poprostu nie wiem, co się ze mną dzieje. —

Swoją drogą — to najprzyjemniejszy stan... I jeszcze w porównaniu z tą moją pracą księgarnianą, która mnie zabija!

Tak ginie we mnie talent, siły, zdrowie...

Psiakrew! Za te pieniądze ich, za które się zabijam, kupię sobie lepiej kiedy rewolwer i w łeb sobie wyrznę!

Ja nie mogę z tem żyć!...

— Toć na i wykłady pewnie nie chodzicie?

— E, co mi po wykładach! Nie ma dziś profesorów, którzyby mi więcej dali od autorów; autorów więc wolę czytać.

I oszczędzam sobie do tego drażniącego mię widoku tych — gęb akademickich słuchaczy,..

A zresztą — jeżeli biorę rzeczy impresyonistycznie, to kto może mnie tego nauczyć?

Pociąga nosem raz po raz, patrząc przybicie przed siebie; po chwili zwraca się zwolna do Owieńskiej — wyciąga po nią ręce:

Siądźcie tu bliżej!

Owieńska przysuwa się nieco, mówi jednak z głębokim akcentem:

Pamiętajcie wy, że ja już jestem matką i — narzeczoną...

— Ach, znam dobrze te idyotycznie-filisterskie, błazeńskie frazesy o miłości!

Owieńska prosząco, przeciągając:

Jurkiewicz, co wy mówicie!

I zresztą — co do miłości: co wy wiecie o tem:

Miłość — to jest szalona rzecz! — to wściekle boli! jak jeszcze do tego ktoś drugi kocha!

— Takeście się zmienili na okropną niekorzyść. Zaczynacie nabierać jakichś filisterskich...

Owieńska przerywa mu, jakby się skarżyła nieco:

Ej, Jurkiewicz, co też wy gadacie!

Tylem się przedtem nałykała brudu, tylem doznała...

Patrzyli na mnie, jak na jakiego zbrodniarza...

Jurkiewicz.

Ot, widzicie — takeście sfilistrzeli, tak sfilistrzeli!

Owieńska

żywiej — trochę żalu i zdziwienia.

Jakto? Przez małżeństwo?

— Jak można się też poniżać do małżeństwa! Należeć jak mebel jaki do jakiegoś...

— Noo? — do Stefka!..

— Darujcie, ale muszę wam powiedzieć, że wasze poglądy z tej waszej wysokości dawnej, od oryginalności, zaczynają schodzić ku szablonowi

— Aha! więc wolna miłość!

Dobrze wam, mężczyznom, mówić o tem...

Ależ ja teraz dopiero czuję się spokojna! Gdy wiem, że i Stefek mnie kocha, i to jak!

A patrzcie, co i teraz mówi o mnie taki Radlicki, gdy się dowiedział, że należałam już do kilku mężczyzn...

Po chwili:

Tak, Stefek jeden rozumiał to wszystko straszne, com przeszła... On jeden mnie nie winił, jak inni, nazywał mnie męczennicą — po tem wszystkiem — z Jurkiem...

Żebyście widzieli, jak klękał przedemną i nogi moje całował!

Jurkiewicz zrywa się z kanapy i chodzi szybko po pokoju, powkładawszy ręce do kieszeń.

— Ach, nie gadajcie mi o tem! To jest dla mnie wstrętne!

Jak Boga kocham, taka filisterya, takie jakieś zrodzinnienie!

Bardzo rozdrażniony.

Przecież właśnie ta wasza swoboda i wolność, to niezwiązanie się stale z nikim, miało ten ogromny urok!

A teraz?...

Owieńska rzuca naprzód spojrzenie ku drzwiom w głębi. Potem mówi zapatrzona gdzieś:

Ej, Jurkiewicz, żebyście wiedzieli, jak ja mego Jurka kocham! Czasem, jak idę przez ulicę, a wspomnę sobie na niego, to płaczę nad nim — i nad sobą...

Ach, żeby kto wiedział, jak ja go strasznie kocham!

I Stefka! Choćby za to, że on tak strasznie kocha Jurka. I nazwisko mu da, i przyjmie go...

A tak, jakby się to teraz rozeszło, taka strasznie samotna byłabym w życiu...

Ot i teraz, takam sama, i dlatego garnę się do każdego! A tu wszyscy tacy brutalni, tacy podejrzliwi!...

Tylko Stefek taki szlachetny! I tak bardzo chory właśnie, — pisał do mnie przed kilku dniami, — tak mi wyrzucał, że żyję z kolegami...

Postanowiłam się więc zagrzebać w książkach, uczynić z nich moje życie tutaj, i dlatego tak mnie niecierpliwią teraz wszelkie wizyty kolegów —

Jurkiewicz

zatrzymuje się w swym pochodzie:

To może i moja?...

— Ale nie!

Tylko martwi mnie Stefek ciągle. Pisał mi na końcu, że jest z nim bardzo źle, że my się nigdy nie pobierzemy, bo on będzie dogorywał gdzieś na wsi — czekając na krwotok, albo po nim wypoczywając...

Po chwili:

Tak, i on jest strasznie zmęczony życiem...

Jurkiewicz przechadza się po pokoju, kręcąc brodę. Teraz staje znów przed Owieńską i pyta z pewnem współczującem zajęciem:

On?

— Pewnie! — cóż wy myślicie! Każdy z nas jest zmęczony życiem! I Stefek — jeszcze jako artysta!

A jegoby Juras tak cieszył, takby mu z dzieckiem dobrze było!

Ach mój Juras, mój Juras!

Jurkiewicz zwraca się ku niej; w głosie znać ciągłe zaabsorbowanie własną tęsknotą — mówi jednak nieco szyderczo:

Może go jeszcze ochrzcicie?

Owieńska nie odpowiada; smutna nadal.

No, jeszczeście tak nie spadli!

Chwila milczenia; Jurkiewicz idzie w drugi koniec pokoju. Wraca, i staje przed Owieńską i mówi głosem matowym, bez wyrazu:

A zresztą! — ja będę ojcem chrzestnym!

Owieńska uśmiecha się lekko, Jurkiewicz przechadza się dalej, siadając wreszcie na kanapie. Przypominając sobie o jego nieszczęśliwości, poświęca mu ona nieco uwagi.

Cóż ułagodziliście się jako?

Jurkiewicz

trochę porywczo:

Jak wy też możecie przypuszczać coś podobnego!

Owieńska

odwraca się od niego i zamyśla się znów.

A jednak — i wy to musicie zrozumieć —
— No, może mi przecie coś przypiszecie!
— Gdybyście tak wiedzieli wszystko...

Jurkiewicz energicznie wymachuje ręką.

Wiecie, że ja — na to — musiałam do Paryża jechać!?... Tu w Galicyi, ani w Królestwie, nie pozwalała mi rodzina zostać — chcieli mnie oddać do szpitala dla waryatów — pozyskali nawet do tego jakiegoś doktora...

Widziałam, że na chwilę się nie zlitują!...

— Bydło! Bydło!

Jurkiewicz wstrząsa się;

— I dość dobrze mi tam było, choć leżałam w szpitalu...

Nowa myśl: zwraca się do Jurkiewicza:

A wiecie, obok mnie, w pokoju, leżała jakaś bardzo bogata Francuzka, — lubiła mnie bardzo, i później — Jurka —

— Kazała drzwi zawsze otwierać i wołała: Bon-jour, la Pologne! a ja jej odpowiadałam: Bon-jour, la France!

Lubiłam ją, bo i ona mnie lubiła, — mówiła, że gdybym była mężczyzną, toby się we mnie zakochała, — a przedewszystkiem Jurka, bardzo, strasznie!

Jurkiewicz milknie zupełnie, a nawet słucha od czasu do czasu.

A koło mnie, w kołysce, Jurek leżał...

Widzicie — uszyłam dla niego z takim trudem, bom nie umiała

usprawiedliwia się jakby przed samą sobą i przed — synaczkiem!

koszulki, sukienki...

Ubierałam go potem, zawsze biało... A tak mu dobrze u mnie było! — karmiłam je sama...

Ach żebyście widzieli, z jakiem skupieniem on ssał!

Po chwili z zamyśleniem pełnej wnikliwej tęsknoty:

Jak mu też teraz jest!?

Mój Juras, moje małpiątko kochane, mój szczeniak!

Jurkiewicz staje po chwili zwolna; zaczynając chodzić, mówi do siebie:

Taak! Taak!

Wstaje i Owieńska w dobrą chwilę i podchodzi do biurka, i szuka tam czegoś.

Pokażę wam jego fotografię...
— Ach, dajcie spokój!
— i włoski...

Znalazła zapałki; brzęk umbrelki, i wkrótce — jasno w pokoju. Owieńska odchodzi zwolna ku drzwiom w głębi, zamyślona. Podchodząc ku krzesłom, zdejmuje z jednego z nich rozwieszone płótno i — całuje.

Jurkiewicz

przystaje:

Macie, cóż to znowu!
— Pieluszka mego Jura...

— Owieńska przyciska ją do ust.
Jurkiewicz znów chodzi:

No, już mnie znowu rozdrażniacie!

Owieńska stoi pogodnie uśmiechnięta, z płótnem w ręku. Daje je znów na krzesło, a sama wraca do stołu; bierze fotografię synka i całuje:

Mój biedny Jur! Nie miał prawa na świat przyjść!

Jurkiewicz przypatruje się temu i wreszcie się pyta zniechęconym głosem:

No, a cóż Stefek?

Owieńska zaczyna szukać czegoś na stole; i mówi dość żywo, choć z troską:

Stefek pisze, że ja taka chłodna teraz w listach...

Jurkiewicz

spokojnie i arbitralnie:

To podnosi waszą opinię...
— Coo!?

Owieńska zakłada zafrasowana ręce; szuka znów czegoś na stole, po chwili.

O, pokażę wam jego listy dawniejsze.

Jurkiewicz bierze list niedbale; Owieńska staje przy nim i pomaga mu czytać. Chwila milczenia

Owieńska wskazując:

O, widzicie jaki on szlachetny!

Jurkiewicz czyta:...

W prochu się korzę przed cierpieniem Twojem...

o, i to...

— ...Niebądź tem, czem być niechcesz, władaj sobą! — a cierpienie niech nie skurcza ci duszy, tylko rozszerzy ją i oczyści —

Jurkiewicz czyta list jeszcze chwilę, poczem kładzie go zwolna na stole, i zaczyna znów wędrówkę po pokoju. Owieńska pochyla się nad listami.

Jurkiewicz

pociąga nosem:

No, widzę, że się dziś z wami nie dogadam, Lili.

Owieńska podnosi głowę i patrzy za nim; Jurkiewicz zbliża się do niej; stoi tak przed nią chwilę, patrząc jej w oczy i po niej; kręci brodę,

No, ale wyście się jak widzę radykalnie zmienili!

Uśmiechnięta, odpowiada mu Oweńska:

A zmieniłam się zmieniłam... Wiecie, dlaczego —

Patrzą jeszcze chwilę na siebie; potem Jurkiewicz kiwa głową i odwraca się od niej zwolna. Patrzy za swojemi rzeczami. Idzie ku nim, ubiera się w pelerynę, — kapelusz do ręki.

Pójdę ja już, bo późno!

Podaje rękę Lili.

— Tylko nie bądźcie tacy smutni!

Jurkiewicz pociąga nosem i kiwa ręką. Idą oboje ostrożnie ku oknu, które Owieńska starannie cicho otwiera.

Czekajcie, popatrzę jeszcze, czy strażnika niema —

— Ale niema, niema! No, bądźcie zdrowi!

Odwróciwszy się jeszcze, pyta:

A cóż będziecie robili jeszcze teraz?

Owieńska wskazuje oczami i ręką na listy:

Ot —

Jurkiewicz kiwa głową i wyłazi. Słychać skok. Owieńska, kłaniając się jeszcze, zamyka okno. Kurtyna spada.

AKT III.

Pokój jak w akcie drugim; tylko światło wiosennego popołudnia, przechodzącego zwolna, w czasie akcyi, we zmrok przedwieczorny.

Lili Owieńska siedzi przy biurku, czytając — chciwie prawie — jakąś książkę. Na sofie, w lewym jej rogu, spoczywa w bardzo wygodnej pozycyi Oyrzanowski: Szanuje się, i nie chce być widzianym przez kogo z ulicy, z której dochodzą odgłosy mniej lub więcej energicznych stąpań — od czasu do czasu. Słychać również niekiedy uderzenia kopyt końskich i odgłos kół na niebrukowanej zresztą ulicy.

Oyrzanowski przemawia do siebie głośno monosylabami:

Hm... tak... naturalnie...

Owieńska

z małą rozpaczą:

Ależ, Oyrzanowski! nie mówcie głośno!
O Boże, Boże! pracować mi nie dadzą!

Oyrzanowski patrzy na nią spokojnie zrazu; przewija mu się następnie po twarzy odcień wzgardy lekkiej: mówi porywczo:

Wy ciekawa jesteście! zapraszacie naprzód, a potem odezwać się nie dacie, — tembardziej, że przecie nie do was mówię: do moich myśli...

Owieńska odpowiada mu, nie odwracając się ku sofie:

Co mnie obchodzą wasze myśli, wasze utwory!

Oyrzanowski wstał obrażony, — zimny, nieprzystępny wyraz twarzy:

Aa, koleżanko, wyłażą z was pierwiastki waszej rasy...

Na twarzy Owieńskiej twardy, zawzięty wyraz; wstaje gwałtownie od stołu:

Patrzcie go, szlachcic!

Podchodzi do Oyrzanowskiego, który staje naprzeciw niej i patrząc jej ironicznie w oczy, mówi powoli:

Zapewne, zapewne...

Owieńska bada go wzrokiem; wtem — nagła myśl: podchodzi ku biurku i patrzy na zegarek.

4

Już czwarta! Słuchajcie, to zaraz oni przyjdą!?

— A przyjdą, przyjdą! oni do was nie spaźniają się!

U Owieńskiej uśmiech ku niemu; w chwilę potem nadsłuchuje i zwraca się ku drzwiom na prawo:

O, już idą!

Rozlega się za drzwiami nieliczący się zgoła z jakiemś dyskretnem brzmieniem głos Radlickiego; Oyrzanowski cofa się ku kanapie i opuszcza się zwolna w jej rogu. Po chwili — pukanie.

Owieńska

stojąc już koło biurka:

Proszę, proszę!

Drzwi się otwierają, i wchodzi pierwszy szerokimi krokami Radlicki, za nim, również szeroko idąc, choć nieco nieufnie, Dr. Oba: Postać niedbale ubrana, twarz Chrystusowa, o pełnym jasnym zaroście, — charakterystyczne ręce, wysuwające się dość daleko z rękawów przykrótkich.

Trzeci, Nieborski, robi małe kroki i idzie na spotkanie Owieńskiej z grzecznie podanym, łagodnym wyrazem oczu. Na końcu wreszcie, jak zwykle strapiony i zamyślony, wkracza w pelerynie Jurkiewicz, który zamyka drzwi, nie spiesząc się ani z tem, ani z witaniem.

Radlicki, wyciągając przed siebie prawą rękę i potrząsając nią, układa we filuternie domyślny wyraz bladą swą twarz; wzrokiem przechodzi od Oyrzanowskiego do Owieńskiej:

Aa, aa!...

Wita się z udaną wielką grzecznością z Owieńską, pochylając przed nią głowę; następnie podchodzi do Oyrzanowskiego, który przesuwa się na brzeg kanapy i stamtąd wyciąga doń rękę.

Z Owieńską, uśmiechniętą życzliwie i widocznie ucieszoną, witają się po kolei: grzeczny i pochylający się bez potrzeby w ukłonie Nieborski, szczery i bezpośredni Dr. Oba, i zatroskany Jurkiewicz.

Powitanie zatem ogólne; Oyrzanowski wstał ze sofy i podszedł ku nowoprzybyłym, witając ich naturalnie, choć poważnie.

Młodzi chodzą jakiś czas w płaszczach po pokoju.

Nieborski

do Owieńskiej — nieco przez zęby cedząc słowa:

Przyszliśmy do koleżanki przed odczytem...

Oyrzanowski.

z łagodnym uśmiechem:

Ażebyście wiedzieli, jak na was wszystkich wyrzekała! Że jej przeszkadzamy, że nachodzimy ją!...

— No, no, już nie gadajcie!
— No, przecież powracacie do siebie, tej lepszej...
— Ee, wy znowu wasze —

odpowiada Owieńska z ordynarnym gestem.
Odchodzi ku stołowi, dokąd już pierwej zmierzył był odrazu Nieborski. Stoi przy nim i przegląda książki; zdaje się po chwili dopiero dostrzegać Owieńską, która przyszedłszy, również o stół się oparła. Patrzy na nią z boku przez ramię — Owieńska ku niemu z lekko kuszącym uśmiechem. Odzywa się do niej ze szorstkością szlagona o dzielnej krwi; pokazuje na stół:

Cóż, literatura sama, jak widzę —

Wśród tego zbliża się do nich Radlicki, lekko badając ich oczyma; i inni ściągają się z kątów pokoju ku stołowi.

Owieńska.

Ano, wiecie — czytam od rana do wieczora i w nocy także... Uciekam przez to przed jakąś melancholią, która mnie od czasu do czasu nachodzi —

Radlicki.

Macie się też czem karmić! tą podłą literaturą...

Nieborski.

mówi ku niemu, patrząc przez ramię; szarża wielkopańskiego tonu:

Panie Pa —, Ma —, czy jak tam, aha — Radlicki! Czemuż wywłócza on swe szacowne sądy!...

Radlicki.

z urąganiem:

Może i wy literat? a może jeszcze — artysta?...

Złośliwe zerknięcie ku Oyrzanowskiemu, który przyjmuje to z niesmakiem, potem — obojętność:

Oyrzanowski.

Artysta, artysta!..,
A któż przyczynia się bezpośrednio do powstawania artystów, jak nie wy właśnie, wy ludzie zwykli, czy jak tam, w każdym razie — nie artyści!

Wy, którzy w swej strasznej i przerażająco różnolitej niedojrzałości duchowej, i życiowej wogóle, — jak zaczniecie temi zgiełkliwemi różnościami raczyć taki zamiarek na artystę, to biedak wije się wśród waszej atmosferki życiowej.

I jak wam wytnie gdzie replikę, to przecie zamilkniecie nieco, i macie potem oburzenia i dyskut waszych biednych na pół wieka!

A zresztą — wasze wnuki dopiero, kolego, zaczną pojmować to słowo...

Radlicki.

kłania się z ironią:

Aa, wielkie słowo, wysoki urząd! Możecie z tem śmiało i radcą galicyjskim zostać! Wobec tego, że mam zaszczyt z artystą...

Kłania się powtórnie, spuszcza oczy niby — kornie, i zaciera ręce.

Dr. Oba, który stanął obok Radlickiego, mówi doń powoli i obojętnie, z rozwagą jednak:

Daj spokój, Władek..

Wiesz, ty czasem, jak co powiesz...

— Paszoł won ty niedołęga!

On mi tu jeszcze będzie nauki gadał...

— Nauki nie nauki, ale ot — o literaturze —

ciągnie dalej rozwlekle Dr. Oba.

Tyś sam jednak przyznał — pamiętasz, o Maeterlincku, że to sztuka tak określić te rzeczy odczuwane, które on właśnie tak świetnie chwyta,

Oba ożywiony trochę.

Radlicki mityguje się nieco, następnie — znów raptns.

Ej, co ty mi będziesz gadał tutaj!... Tamto inne rzeczy, a te inne...

Szybki, szybko cofnięty gest ku stołowi.

Oyrzanowski

Ach, więc niepodoba się wam, kolego Radlicki, gdy słyszycie o n a s z e j twórczości, nas, najmłodszych —

Radlicki.

z grzeczną zgryźliwością

...niemowlęcej Polski...

Oyrzanowski.

E, sport zrobiliście sobie z tego!...

Co do mnie zaś samego, to ryzykuję trochę otwartości, i powiem wam: No, będę naturalnie wielce zadowolony, jeżeli z tego co będzie, z twórczości mojej —

A w przeciwnym razie — nie mogę przecie forsować mego ewentualnego talentu, i — nie będę. Zgoła bym nie mógł!

To jasne i dla was chyba?

Radlicki.

No, dobrze, ja nie robię wam z tego zarzutu, — ale ot, taki Uliński. Człowiek bez charakteru, dekadent w najgorszym stopniu...

Nieborski.

E, Uliński! Wspaniały skład okładek i tytułów...

Dr. Oba.

zabiera flegmatycznie głos.

Ty, Wacek, i na dekadentów nie wygaduj. Ot ja, choć wiem, że nie jestem dekadentem, ale mimoto czuję się pociągniętym do dekadenckich rzeczy.

Sam niewiem, co to jest!

Ale i ty przyznasz, że ci dobrze jest włóczyć się z nami wszystkimi tu razem, niż siedzieć w prosektoryum albo na wykładzie...

Radlicki.

z pretensyą do Oby:

Coś ty się dzisiaj tak rozgadał? I do mnie stajesz, ty, który robisz wszystko, co ja ci każę!?

Dr. Oba dobrodusznie się uśmiecha: przysuwa się do Oyrzanowskiego i bierze go pod ramię: patrzy mu w oczy z niedokończonym z lenistwa uśmiechem.

Cóż, ojciec, nie dobrze nam tak razem? ot i z koleżanką...

Na to Radlicki do Owieńskiej, zacierając ręce, i pochylając kilkakrotnie głowę w ukłonie:

A, a, winszuję, winszuję, nowy... adorator..., a jakże!...

Oyrzanowski.

Stójcie, zachwycający się kolego, bo inaczej znowu nie będzie-

cie wiedzieli, o czemśmy mówili. Uważajcie: To, co piszę, nie jest dla mnie tematem literackim. To jest — powiem wam, choćbyście drwili — mój ból najgłębszy i troska obywatelska...

Tak, kolego, i dlatego obecnie przynajmiej, uważam to za mój zawód za zużytkowanie moich zdolności, za moją pracę obywatelską, której nazwę wy zmieniacie na: społeczną — i poza tą. poza waszą partyą wprost, niczego nie widzicie...

Radlicki.

No tak, to co innego... A co do pracy społecznej — to nie biorę monopolu na nią dla siebie, ani dla mojej partyi, do której zresztą dlatego należę, że dąży ona do największej sprawiedliwości.

Nieborski.

złośliwie drwiąc:

Szczęśliwy człowiek! złudzenia uważa za rzeczywistość!

Radlickiego cała postać wydziera się ku Nieborskiemu:

Gadacie tylko, aby drwić i burzyć jedynie!

Co tu gadać!

A zresztą, i ideałem nie jest socyalizm! Jest czemś rzeczywistem, realnem, dlatego też wytępiam to pojęcie jego jako ideału.

A tu jeszcze wy, kolego Nieborski, wyjeżdżacie z jakiemiś złudzeniami!

Więc co jest złudzeniem? Ta właśnie praca tam, dokąd się innym iść nie chce, na co patrzą ze swoją zaślepioną szlacheckością!

Głęboka niechęć w głosie Radlickiego.

Nieborski odpowiada spokojnie i już bez drwiny, z przekonaniem. Ręce w kieszeniach; zwraca się z twarzą, jakby napiętą przez pracę mózgu, ku Radlickiemu: Głos jego dochodzi w mutacyi do dość wysokich pozytur.

I za kim wy też stoicie? za proletaryatem! Ależ proletaryat — to jest bezmózga masa!

Radlicki poważnieje, i mówi prawie seryo:

W takim razie będę miał z Panem do czynienia...

Nieborski.

Panie, Pan nie należy do proletaryatu! Pan jest chyba kandydatem na stan trzeci, t. zw. inteligentny proletaryat!

Radlicki zbity z toru, niewie co odpowiedzieć. Nieborski kończy z pewnością siebie:

Jesteście tylko kółkiem w partyi!

Radlicki podejmuje sposobność i mówi prawie chełpliwie:

I to jest dla mnie zaszczytem! To jest właśnie poświęcenie!

Nieborski.

Ja nie rozumię poświęcenia, ja nie umiem się poświęcać!

— Bo wy macie inny bieg myśli!

— O tyle, że uczucie to jest mi obce.

— No tak, to charakterystyczne!

— Niech będzie charakterystyczne. Z tem się nie kryję. Jabym każdego okradł, każdego zabił, gdyby mi to było potrzebne. A coby o tem powiedział taki Radlicki, taki...

Radlicki wpada mu gwałtownie w mowę:

No, to jesteście świetnym materyałem na defraudanta, na zbrodniarza!

Dr. Oba.

bez oburzenia, nieco wesoło:

Na anarchistę! — on przecie znany anarchista...

Radlicki.

patrzy przez chwilę na Obę, nie widząc go jednak; kończy:

Bo przecież za to się zamyka, za to się karze!

— I wy jesteście za postępem?

— odpowiada mu szybko Nieborski z silnem szyderstwem:

Owieńska.

gorąco:

Dobrze mówi! Kto ma prawo człowieka więzić, kto?

Kto ma prawo zabierać mu wolność, która mu czasem pozostaje jako jedyna własność!

Dr. Oba przez cały czas rozmowy uśmiechnięty; gładzi i kręci łagodnie swoją brodę. Gdy Owieńska zapala się już do tematu, Jurkiewicz spogląda na całą scenę dość obojętnie, patrząc z początku nieco bezmyślnie czy roztargnienie. Zwolna, zwolna ożywia się jednak i on.

Radlicki.

Ja mam tylko specyalny punkt zapatrywania się, i wy taksamo specyalny. Ja poprostu nazywam: Człowieka, nie pracującego — pasożytem, złodzieja — złodziejem, i t. d.

Nieborski.

Ach, co do pracy, to jakże ja mam, jako ja mogę wprost pracować, jeżeli przedemną dwadzieścia pokoleń nie pracowało!

Kończy ze satysfakcyą:

A ja taksamo nie będę pracował, i żaden pan z proletaryatu nie śmie mi tego powiedzieć, bo ja ze swego biorę, więc on nie będzie miał prawa...

Radlicki.

E, wiecie, jest inny kodeks cywilny, a inny etyczny...

Nieborski.

A u was — to jest specyalna przeróbka marksizmu przez reminiscencyę romantyzmu.

Zresztą — co tu gadać! Proletaryat nie ma swej kultury, więc nie może występować przeciw ludziom, którzy stworzyli kulturę.

Radlicki.

Co wy będziecie gadali o posiadaniu kultury! A w jaki sposób doszliście do niej! Zabierając prawa do niej, do jej poznania, tylko dla siebie, z krzywdą dla milionów nieuprzywilejowanych! których trzymaliście w ciemności i ucisku! i to w jakim ucisku!

A z tych korzystających z przywilejów wyrośliście potem wy — szlachta!

I czy choć udzieliliście tej kultury masom!?

Nieborski.

—Niech one zatem same stworzą sobie kulturę!

Przytem, społecznik jest z zasady niszczycielem kultury, bo ją szerzy, chce szerzyć!

Radlicki.

niepewny wśród niezrozumiałych dlań sprzeczności:

No, wiecie kolego, to już nie jest nawet oburzające, ale tylko jest nędzną zasłoną!

Oyrzanowski.

...i ucieczką słabości!

Przyznacie chyba, kolego Nieborski, że szczytem kultury jest udzielenie jej innym, podniesienie poziomu ogólnego, aby — aby wprost przygotować grunt pod przyjmowanie coraz to donioślejszych, a śmielszych jej zdobyczy.

Nieborski niewie, co począć; zwrócił się był na chwilę do Oyrzanowskiego.

Radlicki.

Wszystko jednak, i na tej drodze, idzie ku szczęściu. A szczęście ostateczne da zastosowany chrześcianizm.

Nieborski.

...który kładziecie jako koronę socyalizmu!

Radlicki.

Naturalnie! Dlatego nic sobie nie robię z tego, gdy mi Oba n. p. zarzuca, że będąc materyalistą, jestem też za chrześcianizmem.

Dr. Oba.

E, wiesz Władek, źle będzie dla szczęścia, jak będzie szczęście...

Radlicki.

silnie:

Ale nędza musi się skończyć i ucisk!

A u was, takich indywidualistów, są nerwy tylko przeważnie!

Oyrzanowski.

...i to — nadszarpnięte grubo...

Nieborski.

do Radlickiego:

I wy macie nerwy!

— Ale racyonalnie rozwinięte!

— Ciekawe określenie, specyalnie wasze! I wy właśnie tę racyę sobie przypisujecie!

Nieborski lekko podrażniony; nagła myśl: przechodzi zwolna do subtelnej drwiny

A co do mnie, to muszę oświadczyć szanownej zbieraninie, — że rozstrój umysłowy rozpoczął się u mnie z chwilą, gdym wszedł w wasze szanowne grono!... gdy ujrzałem głębo-

kie oczy kolegi Oyrzanowskiego, roztrzepanie koleżanki Owieńskiej, ból społeczny z niedołęstwem i dekadencyą połączony u kolegi Radlickiego, jakoteż jego jakieś białe, obecne gdzieś w światach spojrzenie...

Uśmiechy.

Radlicki.

poważnie:

A pewnie, że ból społeczny..

Nieborski.

No dobrze, dobrze!
Ale ja wam powiadam, że kapitał ma takiesame prawa..

Radlicki.

Nieprawda!
Kapitał nie ma praw, bo jest pasożytnictwem!
I to jest wadliwość, to zgnilizna, to jest podłość!!

Nieborski nie traci spokoju:

Ee, kolego!

Odwraca się, z rękami w kieszeniach i idzie w głąb pokoju. Spotyka się tam z Jurkiewiczem, który jużto chodził, już wertował ospale książki na biurku.

Radlicki patrzy za Nieborskim ironicznie: kiwa głową:

I to wszystko ten wasz wstrętny indywidualizm!

Odzywa się Jurkiewicz; mówi zwolna, bez życia, pociągając od czasu do czasu nosem:

Co do indywidualizmu kol. Nieborskiego, to nie możesz ty, Władek, robić z tego winy ogólnej indywidualizmu.

A co do kapitału — to zupełnie się zgadzam z tobą;

— To przecież — prawdą jest, że — można grzeszyć myślą, słowem, uczynkiem i — pieniędzmi. Co do mnie, to moją zasadą jest zawsze ogołocić się przedewszystkiem z pieniędzy. Wyniszczam je, nienawidzę ich!

Ogólna chwila milczenia.

Wreszcie mówi Radlicki z namysłem:

Tak, ja jestem bezwzględny w sądach, — mówię jednak zawsze prawdę, którą czuję.

Nieborski.

Jakto prawdę? Prawdy niema!

Może to być tylko waszem indywidualnem zapatrywaniem! Zresztą — te właśnie wasze zapatrywania obchodzą mnie jako zapatrywania pewnego indywiduum...

Radlicki.

No! No! Indywiduum!

Nieborski.

z okrucieństwem w drwinie:

Tak, indywiduum, któreby mnie nie więcej obchodziło, jak krowa, koza, nie mówiąc już o — ośle!

Uśmiech ogólny; Radlicki niepewny co robić.

Wogóle, wy, kolego Radlicki, ciekawe zajmujecie stanowisko. Był wiecie filozof duński czy szwedzki Reidt, współczesny Kanta —

Radlicki.

chwyta się łatwej, proletaryackiej broni:

Cóż, wy się z Kantem porównujecie?

Nieborski.

z wesołą fantazyą:

Niezupełnie i-niekoniecznie, lecz — słuchajcie. Ten pan Reidt wziął sobie p. Hume'a, i czego u niego nie mógł zbić lub czemu zaprzeczyć, to kładł tam swoje twierdzenie jako twierdzenie zdrowego rozsądku.

Dlatego Reidta nazywają filozofem banalności.

Radlicki.

Cóż to ma do mnie?

Nieborski.

rozkoszując się ciosami:

Wy jesteście więcej niż banalnym, więcej niż — głupim z tem wszystkiem waszem.

Radlicki rozkłada ręce i trzęsie niemi w litosnej rezygnacyi. Tragicznym tonem mówi:

Biedny, biedny człowiek!

Owieńska.

do Niebozskiego:

Czemu wy mówicie: głupi! — kol. Nieborski! To przecież największa obraza powiedzieć komu: głupi!

Straszna obraza! wolałabym żeby ktoś niewiem co na mnie powiedział, niż to, żem głupia, żem nieinteligentna!...

Po chwili do Radlickiego:

Wiecie, ja jednak nie jestem socyalistką —

Radlicki nie bardzo tem zajęty:

Jakto?

Owieńska

z próbnym uśmiechem — co do wrażenia:

W niektórych rzeczach nią jestem, w innych — nie.

Poczęści jestem arystokratką. Nie chciałabym n. p. nosić brzydkiego nazwiska.

Jurkiewicz, kręcąc brodę, i odchyliwszy się całą postacią w tył, zauważa sceptycznie

To też wasz Stefek ładnie się nazywa!

Owieńska.

cofa nagle głowę

A pewnie! A cóż myślicie!

Radlicki.

Wy, koleżanko, to jak Boga kocham, stajecie się coraz większym filistrem!

Jurkiewicz pociąga znacząco nosem.

Owieńska.

szybko i cienko:

Ee, Radlicki, gadacie! kogoż mam lubić — brudnego, śmierdzącego robotnika?

Dr. Oba uśmiecha się wybaczająco, Nieborski łazi po pokoju z rękami w kieszeniach i głową spuszczoną.

Radlicki zwraca się do wszystkich:

Słyszycie?

Oyrzanowski.

do Owieńskiej:

Pominęliście w tem rzecz arcyważną: cierpienie.

Niezdaliście jeszcze egzamin na artyzm. Pozostajecie wciąż przy estetyce.

Owieńska patrzy mu w oczy, z pewnem poddaniem się: wstrząsa głową zwracają ją w chwilę potem ku Dr. Obie, który ją pyta z zagadkowym uśmiechem

Cóż wy wogóle lubicie, koleżanko?

Owieńska.

poganka: swoboda w uśmiechu i w całem zachowaniu się. Mówi instyktownie śmiało:

Ano cóż! Ja lubię wszystko to, co jest pięknem i miłem w życiu.

Radlicki.

sceptycznie:

A kto o tem stanowi?

Owieńska.

No, a któżby, jak nie ja?
Któżby mi mógł być tu miarodajnym!?

Jurkiewicz

pociąga ze satysfakcyą nosem:

Dobrze mówi niewiasta!

Dr. Oba śmieje się nadal jak złagodzony, starosłowiański Chrystus. Radlicki wsadza brodę zastraszająco głęboko w kołnierz, uśmiechając się słabo, ze wzgardą, kurcząc nieprzyjemnie twarz.
Podczas tego grupa się zwolna rozsuwa. Cisza chwilowa, przerywana stąpnięciami nietajonemi zgromadzonych. Radlicki łazi po pokoju z pogrążoną w kołnierzu brodą; natyka w swej drodze na Nieborskiego i Obę, stojących koło foteli. Ogląda ich ze, zdziwieniem i mówi:

Proszę mi oznajmić swoją obecność, bo P — P — Panów nie dostrzegam!

Nieborski przegląda go od stóp do głów wyjętym z kamizelki cwikierem; mówi: protekcyonalnie:

Ciekawy okaz! Nosorożec z południowej Afryki!

Radlicki.

P — Panie! nosorożce na dwóch nogach nie chodzą!

Nieborski.

szczerze się dziwiąc:

A ato, pan człowiek!

— Kiwa głową.

Radlicki spogląda na niego z mocną wzgardą; spluwa na podłogę i odwraca się bezskrupułowo nagle od Nieborskiego.

Wracając, staje przed nim i przed Obą, który miał jeszcze zamało czasu poruszyć się gdziekolwiek.

Radlicki odzywa się po chwili:

No, przynajmniej ja nie mam nic wspólnego z tym wstrętnym indywidualizmem!

Dr. Oba.

Jakto niemasz?
— Ano tak, jak, — uon!...

Pokazuje ze wstrętem ku Nieborskiemu; i inni zaczynają się przysłuchiwać.

Dr. Oba.

wyjątkowo żywo; ręce wyłażą mu swywolnie z krótkich rękawów.

Ale Władek, co ty gadasz!
Ty sam jesteś indywidualistą, choć o tem nie wiesz!

Radlicki mruga kilka razy oczyma:

Jakto?

— Czujesz przecież w sobie coś, co cię pcha ku partyi ku pracy w niej, i ty samowolnie, o!

— trzęsie Oba palcem prawej ręki, na której nie widać manszetu,

— widzisz, indywidualnie właśnie tam idziesz. I właśnie to robisz indywidualnie. Bo indywiduum, jednostka, może być do pewnych rzeczy zmuszona siłą faktów, które ją tak pchają do niesamowolnego postępowania. Ty zaś działasz tu właśnie według twego indywidualnego popędu, i p o ś w i ę c a s z równocześnie twoje indywiduum. Jesteś więc nawet — doppelt indywidualny!

Wesołość ogólna, — z wyjątkiem Radlickiego, który patrzy na Obę podejrzliwie:

Ee, co gadasz, Zenek!?
Zresztą, zły jestem czegoś dzisiaj!

Oba.

No, nic, było tylko starcie dwóch kierunków.

Zresztą, ty Władek, pamiętaj i to, że dwie linie równoległe przecinają się w nieskończoności... —

Oyrzanowski.

Tak, naturalnie!

A nawet — po co nieskończoności! Dzieje się przecież lepiej. Antagonizmy ludzkie ścierają się, mają jednak naturalnie punkta styczne. Jest nawet tyle punktów stycznych! — tylko, że różnice temperamentowe usposobieniowe, nie dozwalają się im zetknąć, nie dają ludziom dochodzić do porozumienia w stosownej, a rzadkiej przeważnie — chwili, — i oto następuje znów rozchylenie się na długie czasy.

No, a wiedzieć, że te punkty istnieją, należy do kultury człowieka, — wynajdywać je — powinna dobra wola.

Dr. Oba.

Tak, bardzo dobrze, ojciec!

A ja widzicie, nie mieszam się teraz nawet do waszych rozmów. Wszystko to już przegadałem, i milczę już. Czasem — ot dam i moje trzy grosze.

Do Radlickiego, który próbuje iść za tem wszystkiem myślą:

A ty, Władek, nie martw się! Człowiek po to żyje, żeby głupstwa gadał!

Owieńska.

podchodząc do Oby;

No, wiecie, co wy wygadujecie!

Podchodzi też do nich Jurkiewicz; ściąga się tam zwoina grupa.

Jurkiewicz.

No, i cóż robicie, Lili?

— Ano cóż, słucham, jak ci wszyscy gadali.

Pozatem, dobrze mi między wami wszystkimi, bo nie czuję w was mężczyzn, ale tylko kolegów.

Oyrzanowski.

Noo — więc wyrabia się u nas swoboda kobiet zwolna —

Nieborski.

Ależ jaka swoboda, kolego! U nas niema swobody kobiet!

Radlicki.

szyderczo, grubszym niż zwykle głosem:

No, to też wy siedzicie w błocie społecznem po uszy!

Zauważa Oyrzanowski upokarzająco grzecznie:

Aa, kolego Radlicki, i idealizm się w was odezwał! Znać, że zaczynacie obcować z porządnemi kobietami. Bronicie ich poziomu kulturalnego!

Radlicki odpowiada mu po krótkim namyśle, nieco jakby się chełpiąc, a nieco do winy przyznając:

No tak, macie potrochę słuszność!

Nieborski.

kończy:

Otóż ja wam powiem, u nas dlatego nie może być swobody kobiet, bo ich poziom kulturalny jest za niski. Może być w Norwegii, w wyższych warstwach inteligencyi rosyjskiej, i. t. d. Ale nie u nas.

U nas może być tylko swoboda samcza.

Oyrzanowski.

To było ogromnie prawdziwe! U nas krew służy przedewszystkiem do użytku płciowego!

Radlicki.

No, tembardziej u kobiety z temperamentem koleżanki Owieńskiej...

Nie szczędzi przytem Radlicki dodatków mimicznych w swoim „genre".

Owieńska się uśmiecha; zadowolona w niej samica. Pewnym siebie, podstępnie samczym wzrokiem rozgląda się po wszystkich.

Oyrzanowski.

Przytoczę wam ogólne zdanie, które wypowiedział raz Uliński. Ostre ale prawdziwe. Brzmi ono: Takt jest często jedyną mądrością kobiety.

Nieborski.

Tak, to jest także bardzo słuszne.

Oyrzanowski

misternie:

Et, widzimy, że i tego nie potrzeba.

Ot, przyjechała koleżanka Owieńska, a już zebrało się koło niej gronko, i powiem — nie najgorsze...

Radlicki wtrąca swoje:

Hm, hm!

Oyrzanowski.

Patrzcie tu, koleżanko na tych, co się wokół was zgromadzili.

I nie powiem ostatecznie, żeby to dla was było specyalnie. Dzieje się to dla typu, który reprezentujecie; przyciąga zaś prawie wszystkich —

— Oyrzanowski czyni zgrabny obrót —

mniej lub więcej samczości...

Nieborski.

Prosiłbym szanownego mowcę o łaskawe wykluczenie — mnie!

Oyrzanowski.

No tak, wy rzeczywiście mówicie sobie ustawicznie waszą królewiacką niemczyzną: Was mir zu diesem?

Ale reszta?

Reszta nie jest pewna siebie.

Oyrzanowski zwraca się znów do uśmiechniętej ochoczo Owieńskiej:

Patrzcie, któż zatem wokół was?

Ku Nieborskiemu:

Ten oto łagodny i dobroduszny przeważnie anarchista, o tak wybitnie słowiańskiej czaszce, i zagadkowym, niesłowiańskim uśmiechu...

Wszyscy stoją w charakterystycznych jak zawsze dla siebie postawach, uśmiechnięci narazie.

Nieborski.

odpowiada:

Tak, tak...

Oyrzanowski.

ku Radlickiemu:

Ten oto wstrętny materyalista, zagubiona dusza...

Radlicki.

wydziwia i zrzeka się:

O, wy znowu z duszą wyjeżdżacie!..

Oyrzanowski.

do Jurkiewicza:

Ten niepewny ludzi i siebie literat, którego natura zmusza do umyślnego zdekadencenia, ten nieumyślny marzyciel, dobrowolny nędzarz, — ten dekadent przyromantyczny Feliks...

Jurkiewicz

ponuro, głowę pochyla ku ziemi;

Tak, nazwano mnie jakby dla ironii Feliks...

Oyrzanowski.

...ten człowiek, jedną rzecz trwale czyniący; pociąga nosem w złej i dobrej doli...

Oba.

wesoło i swobodnie, skutkiem czego zdaje się cały rozlatywać;

I to wszystko uczyniła ta Hestya, zebrała nas...

Owieńska uważna, uśmiechnięta, przerywa mu:

No, już chyba nie Hestya! Do tego najmniej mam skłonności..,

Radlicki.

Wiemy, wiemy!...

Owieńska uśmiecha się zadowolonym, nieukrywanie zmysłowym uśmiechem. Dyskretny błysk oczu.

W tej chwili stuk lekki za oknem, i od zaświeconej latarni pada na pokój zielonawe światło.

Owieńska.

O, już latarnie świecą! Trzeba będzie iść na odczyt.

Jurkiewicz zauważa znudzonym głosem:

Miał tu przyjść jeszcze po nas Grzędziel.

Owieńska.

znagła:

Wy go lubicie?

Jurkiewicz kręcąc brodę:

Bardzo poważny człowiek — nawet za poważny dla nas.

Żywiej:

No, ale możemy się zbierać!

Ruch. Wszyscy szukają swych płaszczów. Ożywienie.

Nieborski.

Przepraszam, kto siedzi na moim kapeluszu?

Jurkiewicz.

spokojnie, ogląda się flegmatycznie:

Zdaje mi się, że ja...

Nieborski podchodzi ku niemu;

Oj, kolego!

— wyprostowuje kapelusz.

Umieściłem w tym interesie siedm koron!

Owieńska przystaje nagle przy drzwiach:

O, ktoś idzie! Pewno Grzędziel!

Pukanie:

Proszę!

Wchodzi Grzędziel, 28-mioletni może mężczyzna. Z poza połyskujących szkieł cwikieru patrzą przenikliwe i bystre oczy. Wyprostowany bardzo, — pierś naprzód. Śmiały życiowiec.

Powitanie. Oyrzanowski podchodzi do Grzędziela z poważnie serdecznym uśmiechem:

Mam w tej chwili wrażenie, że świetnieby było, gdyby Pan tak zamieszkał tu na stałe.

Grzędziel ze swym spokojnym, łagodnym w pewności siebie uśmiechem:

Dlaczego?

— Widzi Pan, działałby Pan tu swojem prawdziwie mądrem starszeństwem, starszeństwem — Pan pozwoli, że tak powiem — bez pretensyj....

Niebyłoby takiego rozprężenia, które widać obecnie w każdym przekroju naszego życia.

Nieborski.

Zatem — stanowisko sokratyczne.

Grzędziel.

zwraca się do Nieborskiego z uśmiechem, odpowiada jednak głównie Oyrzanowskiemu:

Tak, chciałbym Panom pomódz w tym względzie.

Po chwili spokojnej myśli:

A najważniejszą rzeczą, to mieć, wyrobić w sobie punkt ciężkości, a nie szukać go dopiero w literaturze...

Oyrzanowski.

wpada mu w mowę:

Ale zapomocą najlepszych rzeczy w literaturze wyrabiać go w sobie...

Grzędziel.

uśmiechnięty:

Taak, — ani w teatrze, ani też —

zwraca się z uśmiechem do Owieńskiej:

Pani pozwoli?

Owieńska ze swobodnym, niezatroskanym uśmiechem:

Ależ proszę, proszę!

Grzędziel.

kończy:

Ani też — pod spódnicą...

Wszyscy przytakują; Owieńska ma na twarzy pewny siebie uśmiech. Ogólne poruszenie się.

Jurkiewicz narzuca na siebie pelerynę; przypatruje się temu Nieborski.

Jurkiewicz.

Wy nie wiecie o wyższości peleryny nad paltem?

Nieborski.

niewiadomo czy poważnie:

Ja, kolego, muszę rachować się z mojemi choremi płucami.

Wszyscy zabierają się do wychodzenia, ceremoniując się, po wyjściu Grzędziela z Owieńską, pomiędzy sobą. Radlicki daje ujście temperamentowi, wypychając uderzeniem swego barku Obę: krótkie a nagłe zakrzyknięcie tegoż za drzwiami.

Nieborski zaprasza innych ze wzgardliwą grzecznością do przejścia przed nim.

Dominująca wogóle swobodna wesołość w całym akcie, i grająca we wszystkich prawie młodość, tem bardziej ponura czasami.

Koniec aktu 3-go.

AKT IV.

Pokój o przeciętnie obfitem i przyzwoitem umeblowaniu; w kącie lewym szezlong wzdłuż ściany lewej, obok niego lustro na małej etażerce, przed którą stołek. W środku głównej ściany szafa, zasłaniająca drzwi w głębi, otwarta; nieco w niej odzieży kobiecej, — na dole rozrzucona biel w bardzo małej ilości. W kącie prawym piec kaflowy, obok kosz otwarty, do połowy pełny rzeczy. Wreszcie po za nim ku widowni stół z górnemi półeczkami; porozrzucane tu w nieładzie książki i zeszyty. Przed stołem krzesło poręczowe; on zaś sam stoi na tle okna: otwiera się ono na leżące w dole miasto, odzywające się turkotem i ogólną, choć ścieniowaną przez oddalenie pewne wrzawą.

Na szezlongu pół siedzi, pół leży Oyrzanowski; poważny i zamyślony. Przygląda się Owieńskiej, zaprzątniętej seryo »pakowaniem« i porządkującej rzeczy na stoliku, w szafie i w koszu.

Chwilę krząta się ona żwawo. W pewnym momencie podnosi się z nad kosza: w zamyśleniu zakłada ręce i podchodzi wyjątkowo wolno ku Oyrzanowskiemu. Staje przy wąskim brzegu szezlongu i opiera się oń. Chwila poważnej, ze strony Owieńskiej troski pełnej rozmowy oczu. Wreszcie

Owieńska

zwolna i zrezygnowanie: chwilami tylko zrywa się w niej bunt:

Więc widzicie, muszę teraz uciekać; inaczej dostałabym się do więzienia śledczego naprzód, a potem karę bym jeszcze odsiadywała.

I za co? zato, żem krzyczała przeciw obcemu rządowi w tej demonstracyi! Zato, że musiałam wówczas wykrzyczeć moje oburzenie, żem krzyczała jak i inni, młodzi...

Oyrzanowski podrzuca głowę:

...podnieceni, potrzebujący podniecen chwilowych — w tem swem biednem, ubogiem we wrażenia życiu...

Owieńska.

Podnieceni!? Tak, wyście byli spokojni, »solidni« jak mówicie! Oj Oyrzanowski, Oyrzanowski! ja mówię wam raz

jeszcze, że wy za jakie dwa lata już zupełnie, ale to zupełnie będziecie spokojni, całkiem solidni! — lojalni!

Zżyma się nibyto z powodu tej wiary prawie.

Oyrzanowski.

Moi drodzy! nie wam, co się dajecie porwać lada prądowi, lada myśli, jeżeli ją jeszcze jaka wybujalsza temperamentem jednostka rzuci, i w czynie zapoczątkuje, — wy będziecie mi robili wyrzuty, i urządzali wróżby co do mojej przyszłości!?...

I wy to niby dążycie do pogłębienia się możliwie największego, jeżeli dzień w dzień dajecie się ogłuszać tą wrzawką oburzeń chorych ludzi, niezrównoważających się coraz bardziej, — brnących coraz dalej w chorobliwości nieregularnego biegu krwi, i możliwie rozpraszanego życia!?

Owieńska zmitygowana nieco; patrzy na Oyrzanowskiego z uwagą ludzi, przekonywanych pewnością siebie argumentów wypowiadanych i krańcowem lekceważeniem »ich własnych«, soit disant, opinij; przychodzi tu oprócz tego poczucie słuszności:

— No owszem, ja zgodzę się z wami ostatecznie...

Ale cóż mnie i zgoda obchodzi i te wszystkie zdania!— Ot, wyjechać muszę, i to jest dla mnie klęską...

Oyrzanowski.

Dlaczegoż znów klęską?

— E, wy nie wiecie...

Ale jak ztąd wyjadę, i przerwę studya, o których oznajmiłam mojej rodzinie, to gotowi się zupełnie pogniewać na mnie, i nic mi nie przysyłać.

A co ja wtedy zrobię? Ja pracować ciężko nie umiem, nie mogę! Ja nigdy tego od dzieciństwa niepotrzebowałam robić! A tu, jakby tak przyszło...

I głupstwo ostatecznie: ja — . Ale Jurek! Co z nim będzie? O Boże, Boże!

— Cóż znowu za kłopoty z nim macie? Przecie siedzi w Paryżu, i rodzina wasza posyła na to pieniądze!?

— Dyabła tam posyła! Ja stąd musiałam, z mojej pensyi, posyłać na jego utrzymanie, bo inaczej oddaliby go do domu podrzutków. A toby było straszne przecież dla Jurka! — i dla mnie też przecie! Toby mi chwilę spokoju nie dawało!

— Hm, tak, to inna historya! To rzeczywiście bardzo przykre!

I pomyślcie! Pocoście się w to wszystko wkapali! Tyle tem złego zrobicie!

— Oj, zrobię, zrobię!

I wiecie — nawet temu krewnemu tutaj, który się mną z początku opiekował, dopóki mu nie powiedzieli, że zachowanie się moje jako jego imienniczki może mu przynieść szkody w awansie.

— Tak, to, to, wygląda na nasze stosunki.

Podnosi się nagle Oyrzanowski z kanapy, i zaczyna szybko chodzić po pokoju:

Ach, swoją drogą — podłe stosunki! Tak one paczą całe życie, począwszy od pokoleniami skretyniałych nianiek naszych, aż do najwyższych w społeczeństwie!

Dyabła tam zresztą — w społeczeństwie! W urzędzie, stanowisku! Przyszły historyk kultury naszej — naszych czasów — płakać będzie nad nieobliczalnemi szkodami z tych strasznych, bo zwolna i niepostrzeżenie wynikających skutków tego wszystkiego!

Po chwili roztrząsań:

A jeżeli już człek taki z fachu jest czemś, biorącem udział w staraniach około kultury narodu, w jego wychowaniu, to ma na czole wypisany ten swój zawód, i tylko ten! Zresztą ciasny jest ten przystosowany Polak. A słowa: poczucie obywatelskie, troska obywatelska — zniknęły z duszy tych ludzi i z ich działań!

O klęsko straszna niewoli!

Owieńska zamyślona głęboko; przez czas, gdy Oyrzanowski mówił, przeszła do okna, gdzie nagle zwróciło coś jej uwagę. Patrząc tam, obraca się trochę do Oyrzanowskiego i mówi obojętnie:

Idą tu Radlicki i Dr. Oba!

Pozostają tak oboje w zamyśleniu: Owieńska u okna, Oyrzanowski przed biurkiem, dokąd był doszedł po oznajmieniu o nadejściu gości. Za chwilę nierówne pukanie do drzwi i po:

Proszę!

— wchodzi naprzód Radlicki, za nim zaś Dr. Oba, który ze zwykłem swem zniedołężniałem skupieniem zamyka drzwi.

Radlicki czyni zwykły domyślny grymas twarzy; wita jednym, udanie głębokim i pełnym starania o grzeczność ukłonem parę, którą zastaje. Potem rozgląda się po pokoju. Zadziwia się szczerze:

Cóż tu się znów dzieje?

Dr. Oba podszedł tymczasem do Oyrzanowskiego:

Jak się macie, ojciec!

Zresztą obojętny, i jak zwykle — zciszony. Zdaje się prawie czekać na odpowiedź Owieńskiej, i prawie wiedzieć o pytaniu, które przed chwilą padło.

Owieńska.

Ano, muszę wyjechać dziś jeszcze; jadę do Genewy. Widzicie, to ta demonstrancya wtedy!

Radlicki.

żywo i prędko:

Jak to? Cóż się stało?

— Jakoś mnie wykryli, żem ja wtedy krzyczała to: Hańba, i teraz mam mieć śledztwo.

— No i nic na to nie możecie zrobić?

Owieńska ze złością:

Co mam robić!? Kto mi tu pomoże!?

Ach, wściekle obojętni są ludzie dla siebie. I jeszcze więcej między wami, katolikami.

U nas, to pomagają sobie zaraz, wszyscy staną i zrobią, co potrzeba. I jak zrobią?

Oyrzanowski.

Czemuście i tu nie udali się do waszych, do żydów?

Owieńska.

zła, mówi ze wstrętem:

Nie mówcie mi o nich! Nienawidzę żydów! Dość nasiedziałam się wśród nich, dość doznałam od nich, niedawno przecie, za Jurka...

Oyrzanowski.

No, nie wiedzieć, coby was i od chrześcian spotkało w takim wypadku?

Owieńska.

Macie i tu, jakem przyjechała, przykład. Byłam u żydówki, u której było miejsce. I pomyślcie, co za wyzysk: być

cały dzień przy dzieciach, i za to dwadzieścia guldenów! Za te 20-ścia guldenów utracić całą wolność, i do tego niańczyć żydowskie dzieci! To straszne przecież!

Radlicki.

ze smutkiem i nagłem osowieniem:

No, ale jak trzeba!...

Owieńska.

przelotnie słuchając:

No, mogłam i inne zajęcia mieć! Ale i te miały dla mnie wstrętny charakter.

Do Oyrzanowskiego:

Pamiętacie, ten stary wydawca, co to mieszkał nad dawnem mojem mieszkaniem?

Gdy mu mnie polecono, przyszedł na dół do mego pokoju, i doradzał przedewszystkiem, abym się postarała o protekcye. I tak dwuznacznie ze mną gadał o tych staraniach o poparcia jakieś! Wysyłał mnie do protektorów, na przepaść, na zgubę!

Powiedział mi w końcu, że mi miłego chłopca przyszle na lekcye. Poco mi miłego chłopca, poco mężczyzn! Ja chciałam pracy tylko!

Radlicki.

pseudo — sprytnie:

Widzicie, świat niebezpieczny...

Dr. Oba.

z uśmiechem bez barwy:

Szczególniej dla kobiet z temperamentem koleżanki...

Wionięcie weselszego nastroju.

Owieńska poweselała nieco chwilowo; z uśmiechem, nieodpierającym stanowczo zarzutu:

Ta idźcie Droba! On mi tu teraz będzie o tem gadał!

Oyrzanowski.

No, no, nie grajcie znowu przed nami!

Radlicki.

z uśmiechem przedcynicznym, i znacząco:

Znamy się na tem coś nie coś.. Mydlicie nam ciągle oczy...

Owieńska.

z furyą:

Gadajcie, co chcecie, ale to właśnie wy, mężczyżni, takeście spodleli w ciągu wieków, tak podejrzywacie zaraz rzecz każdą, gdzie kobieta wchodzi, takąście sobie z niej ścierkę zrobili!...

Radlicki.

ironicznie:

No, no, cóż to znowu za oburzenie!?

Owieńska odwraca się od niego nagłym ruchem, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

Dr. Oba.

Daj spokój, Władek, w tem jest dużo racyi.
— I znowu ty? Co ty masz tu do gadania!?
— Miałbym wiele, ale — już mi się niechce.
Ot teraz, jakeśmy się zebrali w grupkę —

powierza uśmiech Oyrzanowskiemu —

to inaczej mi jakoś było, spróbowałem przez kilka tygodni innego życia; — widzę jednak, że wszystko to było głupstwem...

Pogrąża się w niezważającem na obecnych zamyśleniu.

Radlicki.

mało ważąc sobie słowa D: Oby:

Macie, ten sobie znowu coś wynalazł!

Dr Oba popatrzył nań z przelotnem lekceważeniem:

Nie wynalazł, nie wynalazł!
Ot, i ty widzisz, jakiem samobójstwem jest życie. I do tego najgorszem samobójstwem, bo wyrafinowanem. Wszystko co robimy, weź ot n. p. dążenie do rozkoszy, do użycia zmysłów wszelkich, — wszystko to skraca, zwęża życie, a ku prędszej i — głupszej śmierci wiedzie...

Radlicki lubi bądź co bądź szybkie wyniki, i gorszy się ich ewentualną powolnością:

— No, i cóż z tego?

Ot, udajesz, że niechcesz iść z innymi paść się na trawę; i tego nie masz, bo sobie psujesz przyjemność, i niczego innego nie osiągasz, boś niedołęga...

Dr. Oba.

flegmatycznie, leniwe ruchy:

Ale wiem o tem...

Jak żyłem czas jakiś spokojnie, bez podniecenia, gdym już przedtem dość się namyślał, to mi jakoś myśl zasnęła...

A potem, gdym się znowu zaczął narażać, było z tem lepiej, i cieszyłem się. Ale i to wszystko rozpada się, kończy się przecież...

Z nieoczekiwanym uśmiechem towarzyskim do Owieńskiej:

Nieprawdaż?

Owieńska.

Oj kończy się, kończy! I we mnie przez te kilka tygodni wiele się skończyło!

Głównie do Oyrzanowskiego, choć zapatrzona gdzieś — mówi dalej:

Przez ten czas i do Stefka takie zimne listy pisałam, że zaczął mi zupełnie nie odpisywać...

Et, mnie już teraz ani Stefek, ani Jurek niczem nie jest...

Chociaż — przecie syna tak kocham! Ale ja teraz chcę czegoś sama dla siebie, jest we mnie jakaś choleryczna ambicya!

E, psiakrew! Może artysta przeżyje we mnie człowieka, bo człowiek ten we mnie dawno już zdechł!

Oyrzanowski.

Hm, ciekawe! Tak się zebrało to w was teraz!

Owieńska.

Ot, taka złość jest we mnie przeciw ludziom. Gdzie przyjdę teraz, to klnę i klnę.

I wiecie Oyrzanowski — jaka podła jestem: Siebie tylko nie klnę!

— No tak, to nawet nie niesprawiedliwość względem innych, ale tylko chwilowe odsunięcie winy własnej, a obserwowanie tej poza — własnej.

Dr. Oba.

nieco ożywiony:

Pewnie, że tak, ojciec.

Do Owieńskiej:

Choć wy, koleżanko, powinniście się cieszyć tą złością u siebie, bo ta sprężystość jest pierwszym objawem woli, — woli — przecież do czegoś; was już jedno mierzi, drugie — przyciąga; mnie zaś naprzykład — już przestało...

Z uśmiechem uprzejmym zwraca się do wszystkich:

We mnie wyrobiła się jedna tylko siła woli, jeden pociąg: do lenistwa.

Oyrzanowski.

poważnie biadając:

Aj ta wola, ta wola!

I te właśnie niezałatwione rzeczy, których się po sobie spodziewamy, kopią między nami coraz to nowsze doły, na których zarównanie brak nam już czasu...

Ot, wlecze się ten czas, leniwie spędzany, i nieopanowany przez nas, i pozwala nam tak załatwiać tylko niezbędne sprawy nasze.

I to jeszcze — między nami dość dobrze się kończy... Ale co tamci —

wskazanie ku ucichającemu w gwarze przedwieczornym miastu —

o nas myślą? ci w mieście, ci — nasi...

Ot, gdy się okaże bezwola takiego osobnika, to wszyscy uważają go za straconego. A osobników tych jest takie mnóstwo! — w naszych stosunkach, które właśnie ludzi tych ulepiły tak nieszczęśliwie, jest to tylko materyał na samobójców.

Dr. Oba z powolnem półmachnięciem ręki:

— Tak to, ojciec...

I to właśnie najbujniejsza część tego naszego...

Oyrzanowski.

No tak, społeczeństwa, tylko — społeczeństwa przeważnie znienawidzonego przez nas...

Z westchnieniem:

Najsilniej i najszczerzej entuzyazmująca się część!

Podchodzi wśród ogólnego, przygnębiającego milczenia ku oknu. Zwrócony do niego bokiem, mówi:

Ot, leci myśl moja nad tem miastem bez charakteru, bez szczególniej złych lub dobrych wpływów... Zresztą — przeważnie banalnych, głupich, wstrętnych zaściankowością, i przez to szkodliwych.

A boję się wstąpić w środek tego wiecznego zgiełku, i niekończącej się gmatwaniny ludzkich stosunków...

Podchodzą inni pod okno i stają półkręgiem.

I wszystko to ospałe po śnie, i przed snem, po jedzeniu dla jednych za obfitem, dla drugich — niewystarczającem...

W tem wszystkiem zaś — brak myśli i nienawidze..ie jej. .

Chwila milczenia.

Oyrzanowski mówi cicho i kusząco prawie:

I jak niema w nas kwitnąć wprost myśl o samobójstwie!

Dr Oba pyta powoli:

Coście wy, ojciec, napisali o tem?

Oyrzanowski uśmiecha się pobłażliwie; Owieńska podchodzi ku stołowi i bierze ztamtąd jakąś kartkę, z którą zbliża się do okna. Czyta zwolna i poważnie;

Gdy tęcz mych końce w niebo sięgną,
Wówczas mą duszę nieulękłą
Wwiodę za niemi! Ciało — rzucę!

Chwila.

Oyrzanowski.

I co to jest!? We wolności i na wolności nie mogę, ot, nie możemy pracować — powiem — mogę przecież —

patrzy po wszystkich spuszczonych ku ziemi głowach.

Co za przekleństwo!

Jakieś zewnętrzne dopiero przymusy, niemożność absolutna robienia lub zrobienia czegoś innego, zmusza mnie dopiero do okruchów pracy — i zapowiedzi tylko tego, co zrobić mógłbym.

Ach ta wstrętna niewolniczość! ta konieczność przymusu! Umierać tak ciągle na ogromne chęci i plany, i równocześnie na krańcową niemożność zebrania się w sobie, pracy kształcącej i twórczej.

Gwałtowne machnięcie ręką.

Dr. Oba

patrzy Oyrzanowskiemu w oczy:

Tak, tak, ojciec, wszyscyśmy kandydaci na samobójców..

Wstrząsające przeczuciem milczenie.

Oyrzanowski.

A tamci —

ukazuje na miasto zwolna milknące —

w spokoju zostają, i — zostaną wogóle, istnieć będą dalej...
Ale i na nich cienie od nas padają, padają...
Przecie i my krew z krwi i kość z ich kości! Tam przecież wśród nich mieszkamy, żyjemy, żyć musimy!
A takeśmy od siebie daleko, tak daleko!...
Czasem, gdy się tak wmyślę w to całe życie bez kierunku właściwie, bez pogłębienia, z tą jakąś przeklętą niemożnością pogłębienia, — to porywa mnie żądza wprost, zła i mściwa, zniszczenia siebie, unicestwienia, aby tę całą nędzę przerwać wreszcie, aby zniknęła niepostrzeżenie, bez nowych upadków i zawodów...
O życie! O krwi odziedziczona!

Dr. Oba.

...To barbarzyńskie płodzenie ludzi na tesame nieszczęścia, tesame klęski życiowe, nieusuwane w następnych pokoleniach, a wciąż trwające!...

Oyrzanowski.

A tu — zbyt wysoko się ideowo doszło, aby lada »działalność« tego lub owego pana mogła nam imponować!
I także — żebyśmy mogli do lada czego stanąć...

Radlicki.

To jest właśnie nasza największa klątwa...

Oyrzanowski.

A jednak, jeżeli mi się co uda dobrego napisać, im więcej mnie ludzie zdają się szanować, tem więcej czuję się względem nich — pokorny.
Odzywa się wtedy we mnie starodawny nasz refren: Nie moja to zasługa, nie moja! Dziękujcie Temu, który mi ją dał wypełnić.

Radlicki.

pogardliwie:

Tak, to w was tkwi niewyrwanie!
— Proszę, a cóż dacie na to miejsce?
Wasz wstrętny, i cyniczny materyalizm może? Ależ on wyklucza wprost u was możność dłuższego trwania czegoś podnioślejszego, któreto — nieuczciwie wydrwiwacie!

Radlicki kręci głową.

Ot, zginąłbym chętnie, byle dać początek choć dziesięciu takim, którzyby dbali gorąco, sprawiedliwie, ot o mieszkańców tych tam murów —

wskazuje na miasto —

o tę biedną, zdeptaną dumę narodu!...
I żeby nas co łączyło!

Nowa myśl; z siłą:

Połączyłby nas jedynie i łączyłby nas już potem hymn państwa polskiego, ale hymnu tego niema!

Radlicki.

Hańba wam! Protestuję przeciw wszelkim odzywaniom się za państwem, które będzie zawsze uciskiem i reakcyą!

Ożywienie w gronie; swobodniejsze ruchy.

Pewnie samorządząca się prowincya narazie! Nieprawdaż!?

Oyrzanowski.

spokojnie, z siłą:

Tak, kolego, właśnie, rozwalajmy zatęchłe mury, choćby święte tradycyą wmówioną, i ku wolności idźmy! Pamiętajmy o sobie samych!

Radlicki

płasko docinając:

Wy, kolego Oyrzanowski, możebyście o tem poemat napisali!?

Owieńska i Oyrzanowski gardzą na odległość Radlickim; Dr. Oba patrzy nań z wyrzutem.

Oyrzanowski

głęboko przejęty, do Radlickiego:

Ot, przyznajcie sami jednak: zadrzelibyście od stóp do głów, gdybyście tak usłyszeli na jawie, zdziwionym słuchem waszym:

Potężnie:

My, z Bożej łaski i woli Narodu
Król Polski
Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki...

Ogólne poruszenie.

Chwila.

Radlicki.

z resztkami rozbitej w nic uczuciem ironii:

I kogobyście dali na ten rząd?

Oyrzanowski.

Mówię wam, że temu choćby złemu, choćby nawet reakcyjnemu z początku rządowi, powiedzielibyście przecież: Masz błędy, ale będę je z miłością zwalczał, boś nasz własny...

Dr. Oba:

Dodajcie jeszcze: A i jabym może błędy takie popełniał na waszem miejscu...

Radlicki

porywczo:

A więc i policyi byście chcieli »naszej«, i militaryzmu całego!?...

Oyrzanowski.

żywo:

E, co tu gadać! O policyi mówi bardzo wyraźnie konstytucya Trzeciego Maja!

A co do wojska, moiściewy! Militaryzm, militaryzm! Rozumię to doskonale jako ustawiczne stawianie przed oczy jego częstych potworności, ale nie trzeba znów przecie truć sobie życia tem jak dotąd w życiu państw »złem koniecznem«, a u innych stwarzać wstręt do takiego jak wasze nieprzekonywal-

nego stanowiska, które przyczynia tylko zwolenników wojskowości.

I trzeba zważyć jeszcze jedno: Że to wojsko, z bardziej jeszcze wojowniczym charakterem, byłoby ostoją dla wielu z dzisiejszego najmłodszego pokolenia. Temu brak jest stanowczo takiej r o d z i m e j tresury.

Owieńska.

O, Radlicki zarazby poszedł!

Szelmowsko:

A jaki z Jurkiewicza byłby żołnierz!...

Oyrzanowski.

Naturalnie, kolego Radlicki! Widzicie, niedaleko szukając, widzicie! Wy byście najlepiej jeszcze czuli się we wojsku!

A nawet — kto wie! Czybyście może, w czasie wojny, a i w pokoju czasem, i okrutnym niebyli!?

Radlicki niepewny; kręci głową.

Oyrzanowski

kończy myśl:

A tu — patrzcie się: Wynaradawia się cały odłam naszych, zmuszonych myśleć i mówić w obcym języku, zmuszonych udawać obcych i wrogich; zmuszonych słuchać drwin i drwić samym z własnej narodowości...

Radlicki

odruchowo:

E, tu się nigdy nie porozumiemy.

Odchodzi w głąb pokoju.

Ogólne rozluźnienie; wszyscy odsuwają się zwolna od okna.

Dr. Oba

chodząc po pokoju z założonymi na plecach rękami:

Jedno jest prawdą: Straszniešmy zdekadencieli! Między młodymi nic niema. Co wartościowsze, to w dekadencyi, w liryce, w literaturze wogóle...